Nr. 153. Lwów — Sobota dnia 7 Lipca. Rok 1900.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Pulcheryi P. Rożd. ś. Joana
Jutro: G. 5 po Ś. Jana z D. N. 4 po S. Hł. 3

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o g. 4 m. 14
Zachód „ „ 7 m. 53

Długość dnia godzin 15 minut 39
Ubyło dnia od wczoraj 1 min.

Rzeź w Pekinie.

Biuro Reutera otrzymało z Szangayu doniesienie, że pekiński motłoch zdobył ostatnią ambasadę, która się jeszcze szczęśliwie broniła, — ambasadę angielską i wyrznął wszystkich Europejczyków, którzy się w niej schronili: przedstawicieli mocarstw, ich rodziny, misyonarzy, kupców, techników, wreszcie cały oddział wojsk europejskich, który był tam posłany na początku ruchu boerskiego. A zatem straszna tragedya, przewidywana już od tygodnia, od chwili, w której pod nożami chińskiego hajdamactwa padł baron Ketteler, spełniła się prędzej, niż sądzono. Ambasada angielska — najdawniejsza w Pekinie ze wszystkich — wznosi się tuż przy murze, opasującym ogród i pałace cesarskie. Mniemali Europejczycy, że przez szacunek dla swego bogdychana, Chińczycy nie poważą się zbliżyć do tego muru, (bo tak rzeczywiście jest w zwykłych czasach) a zatem nie będą napastowali angielskiej ambasady. Oprócz zaś tego, ta angielska siedziba podobna jest do forteczki, otoczonej fosą, murem z wieżami i bramą tak uzbrojoną, jak cytadela. Tam więc zgromadzili się wszyscy cudzoziemcy, aby razem skuteczniej się bronić. A wypadło im się bronić rozpaczliwie. Chińscy chrześcijanie, którzy zdołali uciec z Pekinu i przybyli do Szangayu, opowiedzieli tam, że ludność stolicy już nie uznaje żadnej władzy, lecz połączywszy się dziesięcio-tysięczną muzułmańską gwardyą bogdychana, wyrzyna nietylko chrześcijan chińskich, ale i mandarynów, podejrzywanych o sprzyjanie cudzoziemcom, zaś ambasadę angielską szturmuje tak zaciekle, że stosy trupów leżą dokoła murów tej siedziby, w której już pełno rannych i chorych, a coraz większy brak amunicyi.

Ta wiadomość była już stanowczą zapowiedzią tego, co lada dzień stać się musiało. Więc w Tientsinie, gdzie się zgromadziły wszystkie wojska sprzymierzonych mocarstw, wnet się odbyła rada wojenna, na której obaj dowódzcy sił europejskich: angielski admirał Seymour, komenderujący na południowym brzegu rzeki Peiho, i rosyjski admirał Aleksiejew, który dowodzi na północnym brzegu tej rzeki — zgodnie orzekli, że niepodobna myśleć o marszu na Pekin z dwudziestoma tysiącami żołnierzy, ponieważ pod stolicą stoi już 140.000 zbuntowanych wojsk chińskich, a nadto 90.000 zbliża się pod Tientsin, który zatem może trzeba będzie opuścić i schronić się do portu Taku, pod osłonę pancerników.

To orzeczenie rady wojennej w Tientsinie było jakby wyrokiem śmierci na Europejczyków, zamkniętych w angielskiej ambasadzie w Pekinie. Jakoż wszyscy poszli pod nóż. Już nie jedne Niemcy są krwawo obrażone, ale wszystkie mocarstwa. Od tej chwili musi ustać chwiejność i gra dyplomatyczna, polegająca na tem, że naprzykład Anglia zapewniała wicekrólów o swej życzliwości, a inne mocarstwa wciąż oświadczały, że nie wojują z rządem chińskim, ani z państwem, lecz jedynie z bokserami. Teraz musi zacząć się prawdziwa wojna sprzymierzonych mocarstw z Chinami, bo wszystkie one równo są dotknięte.

Na szczęście dla mocarstw nieprzygotowanych do tego, nie ma potrzeby toczyć kampanii z całemi Chinami, bo ich część południowa, leżąca za rzeką Żółtą, nie bierze udziału w ruchu przeciw Europejczykom; z wyjątkiem zaburzeń na pograniczu kolonii francuskiej, w Junnanie, wszędzie indziej ludność zachowuje się spokojnie, a wice-królowie nie słuchają pekińskich wezwań do wojny. Może to dlatego, że tam z bardzo dawna utrwaliły się handlowe stosunki z Europą, a może dlatego, że lud inny, niż na północy, gdzie ogromna domieszka mongolskiego żywiołu.

Prowadzenie wojennej kampanii w północnych Chinach przedstawia niesłychane trudności, które właśnie dokładnie opisuje organ wojskowy *Russkij Inwalid*. Wedle tego pisma, zapanował w tej części Chin przed ośmiuset laty socyalizm państwowy; wówczas edyktem cesarskim postanowiono, że nikt nie ma prawa wyłącznie się trudnić handlem lub przemysłem, lecz każdy musi posiadać bodaj piędź własnej ziemi, której maksymum było ściśle oznaczone; handel, rzemiosło, medycyna, adwokatura i t. d. mogły być tylko zajęciami ubocznemi i tak ograniczonemi, żeby tylko trochę dawały zarobku. Właściwa naturze chińsko-mongolskiej wyłączność sprawiła to, że ludność rozsiadła się na swych gruntowych działkach pojedynczo, a nie wioskami, przyczem — znowu wskutek wyłączności — każdy rolnik otoczył swe domostwo wysokim murem. Z biegiem czasu rodziny, wciąż się rozmnażając, dzieliły między sobą swą gruntową posiadłość na coraz mniejsze działki, nawet już na grzędy, lecz każde małżeństwo zawsze budowało dokoła swej siedziby obronną ścianę z kamienia. Ten zwyczaj tak się rozpowszechnił, że tam, gdzie wskutek skupienia wielu rodzin, powstało miasteczko lub miasto, jest ono otoczone wspólnym murem, następnie każda dzielnica ma jeszcze swój mur, a wreszcie grupy domów są opasane osobnemi murami. Łatwo więc wyobrazić sobie, jak trudno zdobywać takie miasta i jak trudno wogóle opanować taki kraj, w którym, jak okiem rzucić, wszędzie, dość gęsto, wznoszą się kamienne forteczki. Z powodu swej wyłączności, rasa chińsko-mongolska starała się obchodzić bez dróg; nawet przysłowie chińskie głosi, że „szczęście lata, a nieszczęście chodzi szerokiemi drogami“. Więc też dróg wcale nie ma; tylko między niezliczonemi murami, tworzącymi istny labirynt, wiją się ścieżki, któremi tragarze — a tych miliony — noszą ciężary czasami z jednego końca państwa na koniec drugi; sznury tych wiecznych podróżników snują się po całym obszarze Chin i ci tragarze wytworzyli przez wieki osobną kastę, posiadającą odrębne obyczaje, nawet inną wiarę, a są to ludzie silni, ogromnie wytrwali i dzicy; cudzoziemców oni nienawidzą, gdyż ich koleje odbierają im zarobek — oni też pierwsi poszli pod chorągwie bokserskie, a za nimi wszyscy ci, których ziemie zabrano pod koleje.

Jakże w takim kraju toczyć wojnę? — zapytuje *Russkij Inwalid*. — Jak użyć artyleryi i jazdy, jak dowódzca może mieć przed oczami swoje wojsko? Sześć wielkich państw postanowiło wysłać po dziesięć tysięcy żołnierzy, lecz tyle wystarczy zaledwie na opanowanie niziny wzdłuż rzeki Peiho, która z pod Pekinu płynie mimo Tientsinu do zatoki Taku. Ale armia, która stoi i tylko się broni, musi być powoli wykruszona przez wciąż nowe tłumy chińskich wojowników. Na wojnę z Chinami trudno się zdecydować; i dlatego nawet Japonia się ociąga, a co do Rosyi, to ona całą swą syberyjską armią zaledwo zdoła dostatecznie obsadzić Mandżuryę.

Jest jednak rada. Oto najpierw, trzeba zamknąć okrętami dowóz do Chin ryżu z Indyi i Syamu. Bez tego zboża Chińczycy nie mogą się obejść, wnet głód im dokuczy, więc się ukorzą. Ale oprócz tego, żeby ich rozdzielić i przerazić, trzeba natychmiast zamknąć groblami wszystkie rzeki przy ich ujściach do oceanu. Można to zrobić bardzo prędko, chińskimi robotnikami, otoczonymi wojskowym konwojem. Kiedy rzeki wyleją i zatopią grunta, Chińczycy sami się zwrócą przeciw bokserom, sami się wyrzną i we własnej krwi bunt utopią, a wtedy można im będzie podyktować pokój.

Taka jest rada wojskowości rosyjskiej. Być może, że ostatecznie zastosują się do niej mocarstwa. Ale przedewszystkiem chodzi o pomszczenie ambasadorów, ich rodzin i wogóle Europejczyków, wyrzniętych w Pekinie. Więc skoro tylko przybędą pierwsze posiłki, musi być wykonany marsz na Pekin. Jeżeli, jak zapowiada *Fremdenblatt*, nawet Austrya wyszle wojsko, choć nie ma w Chinach prawie żadnych interesów; jeżeli nawet Hiszpania wysłała pancernik z piechotą morską, lubo ani jednego obywatela nie straciła w Pekinie, to o ileż większe obowiązki spadają pod tym względem na Francyę, Rosyę, Anglię, Niemcy i Stany Zjednoczone! W ostatnich dniach dwaj ministrowie spraw zagranicznych, mianowicie francuski Delcassé i włoski Visconti-Venosta oświadczyli w swych parlamentach, że między mocarstwami panuje niewzruszona zgodność zapatrywań na sprawę chińską i solidarność zupełna, a zatem nic nie przeszkadza śpieszyć z akcyą, od której zależy cała przyszłość stosunków europejskich w Chinach.

Pro et contra.

Piszą nam z Wiednia 4 lipca:

Dwaj wybitni członkowie Izby poselskiej, marszałek krajowy Górnej Austryi dr. Ebenhoch, jeden z przywódzców katolickiego stronnictwa ludowego, tudzież dr. Steinwender, twórca stronnictwa niemiecko-narodowego, wczoraj przemówili o sytuacyi i o zadaniach rządu, dochodząc do odmiennych wniosków.

Dr. Ebenhoch, pochwalając znane wywody dra Grabmayra, sądzi, że rząd powinien się zabrać do oktrojowań, mianowicie nieco zmienionych ustaw językowych, tudzież nowego regulaminu Izby poselskiej. Komisya, złożona z urzędników, otrzymać powinna polecenie zmienienia pierwotnego projektu ustawy językowej, uwzględniając propozycye Niemców i Czechów w taki sposób, aby się żądania dwóch narodowości „spotkały w połowie drogi“. P. Ebenhoch zaznacza, że istotnie już nad tem pracują w biurach ministeryalnych. Równocześnie zaleca oktrojowanie nowego regulaminu Izby, któryby znacznie zwiększył dyscyplinarne prawa prezydenta. P. Ebenhoch wyobraża sobie procedurę tę tak, że gabinet na podstawie § 14-go ogłosi nowy regulamin, który już obowiązywać będzie podczas obrad Izby nad kwestyą, czy to rozporządzenie ministeryalne ma uzyskać sankcyę parlamentarną lub nie. Według zapowiedzi dra Ebenhocha to wszystko stanie się we wrześniu.

Stanowczo przeciw oktrojowaniu ustaw językowych, tudzież regulaminu, przemawia dr. Steinwender. „Regulamin taki — powiada ten poseł — na nicby się nie przydał; zmiótłby go niechybnie skombinowany atak lewicy i prawicy. Regulamin stanowi wewnętrzną sprawę Izby, do której mięszać się rząd nie ma prawa. Że teraźniejszy regulamin jest nieużyteczny, nie ulega wątpliwości. Jeżeli 15 posłów wystarcza, aby odczytaniem interpelacyi uniemożebnić wszelką prawidłową czynność, jeżeli Izba nie posiada przysługującego każdemu towarzystwu prawa wyrzucenia tych, którzy zakłócają porządek, to podobny stan rzeczy nie oznacza wolności, lecz niewolę parlamentu. Ale Izba musi sama sobie pomódz; jeśli się nie zdobędzie na potrzebną ku temu energię, to jej nikt nie pomoże. Wprawdzie także po stronie niemieckiej odzywają się głosy przeciwko zmianie regulaminu, ponieważ Niemcy mogliby się znaleźć w konieczności użycia znowu obstrukcyi. Stanowisko takie byłoby zrozumiałem, gdyby chodziło o drobną frakcyę, pragnącą tylko przeszkadzać i negować, która jednak nie chce pozytywnie pracować i przeto nie potrzebuje się obawiać, aby jej ktoś przeszkadzał w pracy. Ale Niemcy austryaccy nie mogą się zadowolić samem przeszkadzaniem, lecz są powołani iść przodem i prowadzić; jeżeli więc w pewnym wyjątkowym przypadku obstrukcya może być Niemcom na rękę, to najczęściej obstrukcya drugich daje nam się we znaki“.

Wielka prawda! A ponieważ także z czeskiej strony raz po raz słychać zapewnienie, że Czesi zgadzają się na zasadnicze wykluczenie obstrukcyi, i ponieważ zwłaszcza klub konserwatywnej szlachty historycznej ciągle to powtarza, należałoby przypuścić, że zmiana regulaminu nie napotka na nieprzezwyciężone przeszkody. Jest jednak rzeczą konieczną, aby się to stało w sposób legalny, a więc przez Izbę poselską. Jeżeli świeżo skrajna lewica parlamentu włoskiego zgodziła się na znaczne obostrzenie regulaminu, dozwalające prezydentowi wykluczyć posłów, zakłócających porządek obrad, to trudno dociec, dlaczego byłoby to niemożliwem w Austryi?

Tylko nie trzeba ciężarów tej reformy zwalać wyłącznie na rząd, jak to czynią pp. Grabmayr, Ebenhoch i inni. Narzucając Izbie regulamin, rząd niewątpliwie naruszyłby legalność. Wprawdzie bardzo znaczną jest liczba tych, którzy lekceważą stronę prawną kwestyj politycznych, pytając jedynie o to, czy jakiś krok prowadzi do celu? Ale i tego w danym razie nie można się spodziewać. Jeżeli rząd narzuci regulamin, to Czesi i Niemcy, a przynajmniej znaczna część tych ostatnich, choćby byli przekonani, że nowy regulamin jest sprawiedliwy i całkiem odpowiedni, rozpoczną przeciwko niemu namiętną walkę, aby się przypodobać swym roznamiętnionym wyborcom, aby ukazać się w roli zuchów, zawsze gotowych uderzać na ministrów.

Rycerz rzymski Kurcyusz, skacząc w otchłań, miał przynajmniej przekonanie, że Rzym ocali. Ale gabinet p. Körbera, wstępując na zalecaną mu z tylu stron drogę oktrojowań, nie miałby najmniejszej pewności, że się stosunki naprawią.

Echa z wód.

Brzuchowice w lipcu.

Interesujące opisy wód i zdrojowisk krajowych, umieszczane w łamach *Przeglądu*, zachęciły mnie do nakreślenia wrażeń, jakie odniosłem podczas pobytu w zakładzie wodoleczniczym „Zofiówka“, przy gościńcu, prowadzącym ze Lwowa na Hołosko do Brzuchowic. Zakład ten położony bardzo malowniczo nad stawem, obok sosnowych lasów, należących do gminy miasta Lwowa, wśród buczyną pokrytych pagórków, jest połączony z pensyonatem; zarząd w nim sprawuje lekarz kąpielowy dr. Krysakowski, były asystent zakładu wodoleczniczego w Krynicy. Kilkanaście pokoi, bardzo czysto i gustownie urządzonych, sala jadalna, kąpiele ciepłe w wannach, znakomite tusze, powietrzne i elektryczne kąpiele w zakładzie, zimne w stawie. Dla osób, które potrzebują szczególnej opieki, są trzy pokoje w willi właściciela zakładu. Ceny pokoju i utrzymania są umiarkowane, wikt zdrowy i smaczny.

Widziałem tu jednak mało letników i nie pojmuję, że zakład kąpielowy tuż pod Lwowem, tak słabo jest uczęszczanym, kiedy właśnie kupiec czy urzędnik, umieściwszy rodzinę w Brzuchowicach, może codziennie po pracy tu odpocząć, odetchnąć świeżem balsamicznem powietrzem, pokrzepić ciało kąpielą, tuszem i masażem, i umysł odświeżyć. Zwłaszcza dla piersiowo chorych i reumatycznych pobyt tu na powietrzu, przesiąkniętem wonią lasów szpilkowych i w suchej miejscowości, (Brzuchowice słyną z piasków ongi niedostępnych), jest wskazanym, albowiem gdy lato jest słotne, nie ma tu obawy wilgoci, bo już w kwadrans po deszczu można suchą nogą przechadzać się po parku lub ścieżką przez las sosnowy podążyć na stacyę kolejową czy na pocztę, oddaloną o 20 minut drogi pieszej.

M. Bużenin Mniszek.

Co i o czem piszą.

P. Artur Gruszecki, znany powieściopisarz który obecnie bawi w koloniach polskich w Ameryce południowej i bada ich stosunki, zamieszcza w różnych dziennikach warszawskich swoje spostrzeżenia, zdobyte w Paranie. Z artykułów tych powtarzamy tutaj jeden bardziej zajmujący pt. „Życie w koloniach polskich“ drukowany w *Kuryerze warszawskim*. Brzmi on następująco:

Kolonie polskie w okolicach Kurytyby, jak: Aranches, Thomas Coelho, Samenha, gdzie wypalają wapno, Santo Ignatio (wyrób cegieł), Orleans i inne, robią na razie wrażenie zbyt rozrzuconych wsi polskich. W około zagony żyta, kartofli, kukurydzy, grządki warzyw naszych i domy mieszkalne, budowane przeważnie na węgieł, pokryte dranicami, rzadziej gontami. Przeciętny dom kolonisty posiada sień, idącą na przestrzał i cztery izby, z tych najmniejszą jest kuchnia, w której nikt z powodu gorąca nie sypia, dalej pokój dla gości, względnie dobrze meblowany kanapką i krzesłami drewnianemi, sypialnia i warsztat gospodarza.

Koloniści, jakkolwiek pozostają w pewnej zależności od pośredników handlowych w Kurytybie, dzięki blizkości miasta, tem samem możności zbytu swych produktów za gotówkę, mają się stosunkowo dobrze, a ludzie, posiadający grosz gotowy, nie należą do wyjątków. Są to wychodźcy, przeważnie ze Szląska i Ks. Poznańskiego, część z Galicyi zachodniej (w osadach Thomas Coelho i Mauricy), posiadają dobre konie, zaprzężone w chomąta krakowskie do wasągów mazurskich, ubierają się z miejska i odżywiają się w stosunku do naszych włościan w kraju bardzo dobrze.

Niemal codziennie jadają mięso, bądź świeże, bądź suszone w domu, a rzadziej kupują *charque*, t. j. mięso suszone przez brazylijczyków w specyalnych zakładach, gdzie prasami wyciskają krew ze świeżego mięsa, a następnie całe połcie suszą na słońcu. Jako dodatków używają: kaszy, czarnej fasoli, naszych kartofli, batatów, t. j. słodkich kartofli, i chleba żytniego. Dwa razy dziennie pijają kawę, zresztą bardzo tanią, gdyż kilogram palonej kosztuje w Kurytybie najdrożej jednego millreisa, według dzisiejszego kursu 30 kop.; dzieci są doskonale odżywiane, dziewczęta w 15-ym, chłopcy w 17-ym roku robią wrażenie dojrzałych i istotnie w tym czasie zawierają śluby małżeńskie.

Do szkół elementarnych polskich posyłają rodzice swoje dzieci chętnie, płacąc za naukę po dwa millreisy miesięcznie. Często można słyszeć narzekania na brak szkół „pożytecznych“, pod którym to wyrazem mieszkańcy tutejsi rozumieją szkoły praktyczne, tj. handlu, rolnictwa, rzemiosła. W szkółkach początkowych używają podręczników naszych, t. j. z Królestwa, Galicyi i Poznańskiego, gdzie mowa jest o jaskółkach, bocianach, łąkach, wierzbach itp., przedmiotów nie znanych i nie widzianych nigdy przez dzieci, urodzone w Brazylii, co musi utrudniać naukę i zrozumienie odczytywanej prozy lub poezyi.

Kolonie polskie w głębi Parany są bardziej rozrzucone, aniżeli położone bliżej Kurytyby. Normalnie osadza się wzdłuż kilometru drogi, przerzynającej kolonię, czterech kolonistów z jednej, czterech z drugiej strony drogi, a każdy z nich ma od 25 hektarów ziemi w pobliżu swego domu mieszkalnego. To powoduje zbyt wielkie odległości, do 40 kilometrów, jak np. w Lucenie, od środkowego punktu osady, utrudnia posyłanie dzieci do szkoły i uczęszczanie do kościoła, około którego grupuje się zazwyczaj większa ilość domów. Kościoły wybudowali przeważnie swoim kosztem, utrzymując księdza polskiego swojemi środkami, płacąc z każdej kolonii po dwa millreisy i więcej na rzecz proboszcza.

Im dalej od stolicy stanu, tem trudniej o gotówkę, a brak drobnej monety wymiennej zastępują kwitki wendystów, t. j. kupców. Handel jest przeważnie zamienny, za dostarczony produkt rolny otrzymuje kolonista żądany towar, utrudnia to naturalnie możność oszczędzania i daje szerokie pole do wyzysku. Jednak i na tych koloniach, podobnie jak na bliższych Kurytyby, koloniści odżywiają się dobrze, jadając drób, nabiał, przychówek gospodarski, gdyż tych przedmiotów nie mają gdzie i komu odprzedawać.

Wogóle koloniści w Paranie robią wrażenie ludzi dostatnich (żebraków polskich, prócz jednej ślepej baby, nie zdarzyło mi się widzieć), mają poczucie własnej godności, a jak mnie księża zapewniali, kradzież jest rzeczą prawie nieznaną, a niemoralność bardzo wyjątkową.

Patrząc na nich, trudno sobie uprzytomnić, że to są ci sami, nasi chłopi, biedni, zahukani, pokorni. Każdy uzbrojony w długi nóż, t. zw. fakę, w pistolety, niemal każdy ma strzelbę lub karabin w domu, mają poczucie praw obywatelskich, pracują bardzo wytrwale i stoją twardo przy swych tradycyach i języku. Cywilizacyjnie jest to materyał wspaniały, bardzo podatny do rozwoju i przewyższający pod każdym względem tuziemców, mieszkających poza miastami, po koloniach i osadach.

Wychodźca nasz przyniósł tu z sobą tradycyjną cywilizacyę, uprawę roli i zbóż, silne poczucie indywidualności swojej i narodowej. Nic tu nie zastał, nic też sobie nie przyswoił, prócz uprawy słodkich kartofli i szerszego zastosowania kukurudzy; ta niższość gospodarcza tuziemców nadała mu pewność siebie i podnieciła dumę jego, patrzy też na nich z pewnem politowaniem, mówiąc np.: „to taki biedny naród, nie zna to ani roboty, ani języka“, rozumiejąc, jak się z dalszej rozmowy przekonałem, pod słowem: „biedny“ głupi naród.

Lecz zanim nasz włościanin doszedł do tego

---

67)

SŁAWA

(Kalksteina część II).

Powieść historyczna z XVII wieku

(z cyklu „O TRON“)

przez

ADAMA KRECHOWIECKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Zimny dreszcz przeszedł Jankowskiego od stóp do głowy. Więc i to, co on mówił i co z takim zapałem głosił mnich, to wszystko nadarmo! Hetman nie chciał zerwać ze spiskiem, a to przybycie i żywe słowo francuskiego posła, właśnie w tym momencie najfatalniej wpłynąć mogło na budzący się zapał wojenny naczelnego wodza. Wszystko stracone! — myślał, wychodząc z zamku zgnębiony.

A i mnich także żywo powstał z miejsca.

— Żegnajcie! — rzekł szorstko — żegnajcie, mości hetmanie... Pomnijcie jednak, iż Bóg zna wszelakie skrytości myśli, a komu dużo dał, od tego i więcej wymagać będzie... Karząca prawica jego i najpotężniejszych dosięga...

Szedł ku drzwiom; Sobieski zatrzymać go chciał.

— Nie odchodźcie, ojcze, nie odchodźcie jeszcze! — przemówił miękko.

Ksiądz Ciukwicz spojrzał na niego bystro. Dostrzegł wahanie i sam się moment zawahał, lecz wnet odparł stanowczo:

— Nie — rzekł — nie ostanę... Są takie chwile, w których najskuteczniej mówi głos sumienia... słowa ludzkie często jeno zadrasnąć mogą. Niech więc sumienie wasze, mości hetmanie, mówi teraz... Ja modlić się będę za was i za ten kraj nieszczęsny!... Bogu was oddaję...

I wyszedł, a hetman został sam, na środku komnaty, jak wryty. Ta cisza, która go ogarnęła, przerażała go. Zostało w niej jakby stłumione echo słów mnicha, surowych, groźnych... Rzucił dokoła okiem, po tych murach, przy których stały wielkie zbroje, całkowite, jakby zastęp martwo śpiących rycerzy. Szedł od nich dziwny chłód a z pod hełmów zdawały się chwilami błyskać wielkie, czarne, głęboko zapadnięte oczy, wszystkie utkwione sztywnie w niego z jakimś okropnym wyrzutem...

Sobieski dźwignął ramionami i począł ciężko chodzić po komnacie. Tarł ręką czoło, jakby gnębiące myśli rozegnać chciał...

— Co on mówi o intrygach, o spiskach, ten mnich? — szepnął. — Zali jest spiskiem dążyć do dobrego, kiedy źle jest, kiedy wszystko rozpada się i w niwecz idzie? Niedołężny król zagraża publicznemu dobru, zali więc zbrodnią jest usunąć go, zmusić, by koronę złożył?

Wyjął z zanadrza duże pismo, rozłożył je i przystanąwszy przy świeczniku, czytać począł.

Był to list małżonki, jeden z ostatnich, który hetman, snadź w obawie, aby komu w oko nie wpadł, zawsze przy sobie nosił. Na widok tego pisma, rozjaśniło się na moment jego oblicze, zabłysły oczy, a pierś podniosła się westchnieniem.

— Jedyna, najukochańsza duszy i serca pociecho! — szepnął.

I czytał chciwie.

Był to list, w którym piękna marszałkowa, wyrzekając na dwór francuski, iż stanowczej decyzyi powziąć nie chce i przypominając, jako na żądanie przerażonego Korybuta, wyparł się nawet kandydata swego, księcia de Longueville i zadał kłam ajentowi swemu w Gdańsku, wyraźnie już namawiała, iżby hetman nie zrywał wprawdzie stosunków ze stronnictwem francuskiem, tak jednak rzecz kierował, aby zamieszki owe na jego obróciły się korzyść. Wszakże on lepszym mógłby być królem niż obcy — książę de Longueville!... I stawała się niezmiernie czuła, zapewniała o swoich dla małżonka gorących affektach, o tęsknocie, o wierności. „Pragnę powrócić — mówiła w końcu — ale jakąż rozkoszą byłby ten powrót, gdybym wraz z hołdem dla małżonka mogła złożyć hołd królowi!“

Były takie chwile, że Sobieski czuł w tych słowach obłudną przesadę i na samą myśl takiego działania wzdrygał się. Ale też czasem, w rozgoryczeniu, mimowoli wracał do tej myśli, a miał nawet dla niej osobną w duszy nazwę... Zwał ją: pokuszeniem rozkosznem, a rozkosznem nie dlatego, iż siebie widział u szczytu, że widział wszystkie zawiści i niechęci, pogromione u stóp swych, lecz, że myśl owa, gdyby urzeczywistnioną być mogła, to powrót ukochanej małżonki, to nierozerwalne już odtąd z nią pożycie, to jej zadowolenie i szczęście. I widział ją w królewskich szatach, w tryumfie, promienną...

I teraz w tym momencie dreszcz rozkoszny przebiegł go całego. Przymknął oczy i czuł się w jej objęciu to miękkiem, pieszczotliwem, to znów silnem, namiętnem...

— Królowo moja! — szepnął.

Po chwili schował pismo starannie w zanadrze i znów chodzić począł po komnacie. Oblicze jego, roztkliwione przed chwilą, zasępiało się w miarę, jak rozważał. Zwolna układały się myśli, dojrzewał plan działania...

Tak! należało się widzieć z opatem Paulmiers, nie zrażać go, lecz obietnicami na przyszłość uzyskać nową odwłokę... Stanowczego nie poczynać nic, dopóki wypadki same nie przyniosą wyjaśnienia sytuacyi...

— Tak! tak! — powtarzał z mocą i chodził ciężko, że echo jego kroków rozlegało się wśród nocnej ciszy.

Nagle drgnął. Olbrzymi miecz, pamiątka po hetmanie Żółkiewskim, snadź potrącony, osunął się ze ściany i z wielkim brzękiem i szczękiem padł u stóp Sobieskiego, tak, że on albo cofnąć się, alboby go przestąpić musiał.

Oblicze hetmana zbladło. Stanął i cofnął się.

Byłżeby to zły omen, fatalna wróżba porażki, może kary i hańby za myśli, które w duszy owo rozkoszne pokuszenie rodziło?

Miecz cecorskiego bohatera padł!

— Wielki Boże! — wyszeptały drżące usta hetmana.

Pochylił się, podniósł miecz, moment patrzył na niego z widocznem rozrzewnieniem, a wreszcie z czcią do ust przycisnął i na dawnem ustawił miejscu.

Usiadł przy stole w zadumie, ale już spokoju odzyskać nie mógł. Spojrzał na zegar. Było już dobrze z północy, tedy porwał się, kołpak na głowę nasadził i żywo wyszedł z komnaty.

— Trzeba z tem skończyć!... — powtarzał, dążąc do myśliwskiego dworku.

Szedł wąską ścieżyną, często przystając i oglądając się, żali go jakie oko obce nie śledzi. Ale była cisza dokoła i pustka. Jankowski z tego przejścia oddalił wszystkich, a jeno zdala rozstawił swoich żołnierzy na czatach. Najtrudniejsza była sprawa z Attelmayerem, który za nic nie chciał odstąpić od wozu i tajemniczej maźnicy.

— Choćbyście tu mieli — wołał — na kawałki mnie rozsiekać, nie odejdę! Samemu hetmanowi do rąk oddam!

(Ciąg dalszy nastąpi).

stanu, iluż ich zginęło, zmarniało, ile i jak strasznie przecierpiał. Gdy się słucha opowiadań o ich strasznej nędzy w barakach emigracyjnych i wstrząsających przejściach przy zakładaniu kolonii, opisy Adolfa Dygasińskiego, nabierają plastyki i wypukłości. Było to piekło męki, chorób, głodu i strachu; niczego nie oszczędził im los zawistny, marli „jak muchy w jesieni“, zjadało ich robactwo, z głodu jedli korę i nieznane szkodliwe owoce, a ilu chorowało — dowodzi fakt, że rząd parański płacił miesięcznie na transportowanie chorych wychodźców po ośm tysięcy millreisów.

Przypuściwszy, że koloniści, co jest rzeczą ludzką, przesadzają w opisach minionych nieszczęść, to gdyby nawet czwarta część była prawdziwa, tworzy ona istotną otchłań cierpień i nędzy. Po życiu w barakach, w których śmiertelność była nadzwyczajna, jak świadczą opisy świadków: Dygasińskiego, Hempla i ks. Chełmickiego, doprowadzono wychodźców pieszo, chorych, na mułach, bo dróg kołowych nie było, do przyszłej kolonii. Wychodźca zdemoralizowany pobytem w barakach, stanął bezradny przed lasem dziewiczym, nieznanym, przerażającym go swą dziwną tajemniczością, rykiem nieznanych zwierząt, liczbą żmij, mnóstwem owadów i napadami dzikich indyan.

Trzeba było „zawziąć się“, aby podołać tej szalonej pracy, trzeba było znakomitego temperamentu chłopa polskiego i jego pasyi posiadania ziemi, ażeby w tych warunkach wytrzymać, zdobyć tę ziemię i uczynić ją płodną. Setki ginęły, dziesiątki zostawały przy życiu. Świadczą o tem nietylko słowa kolonistów, ale cyfry, gdyż w Paranie od samych zaczątków kolonizacyi (1873-go r.) do dziś, mimo gorączki emigracyjnej w Królestwie r. 1891 i Galicyi r. 1896, przemieszkuje zaledwie 9.000 rodzin, czyli, licząc po pięć osób na rodzinę, to jest 45.000 Polaków, cyfra jak na „Nową Polskę“ za mała i niewystarczająca nawet dla ludzi wielkiej fantazyi, w stosunku do przestrzeni i zaludnienia Parany (240.000 kilm. kwadr. i 300.000 ludności). To jednak nie przeszkadza, że już dziś chłop polski w Paranie brazylijskiej stanowi dość poważny czynnik cywilizacyjny i polityczny, a przy nieustannym napływie wychodźców z kraju, rośnie w siłę i znaczenie.

Zaopiekowanie się wychodźcami i zorganizowanie kolonistów w Paranie jest rzeczą potrzebną i korzystną, byle się tą pracą zajęli ludzie czynu i dążności społecznych, a nie frazeolodzy.

Opinia aeronautów
o balonie Zeppelina.

Zaznaczyliśmy już onegdaj, że rezultat pierwszego lotu Zeppelina wywołał bardzo sprzeczne sądy, w sądach tych przeważa jednak sceptycyzm. I tak pewien fachowy aeronauta wyjaśnia, iż nie można żadnej wagi przykładać do tego, że jadącym udało się kilka razy nadać balonowi w powietrzu dowolny kierunek. Przy spokojnem bowiem powietrzu każdy balon da się kierować, wiedziano zaś o tem już od r. 1884, kiedy Renard i Krebs zbudowali swój 50 metrów długi balon, mający formę ryby, z dwoma śrubami do rozbijania powietrza na przodzie. Balonowi temu udało się wówczas wykonać zupełnie to, co próbował balon Zeppelina, mianowicie powrócić po 20 minutach jazdy napowrót na miejsce, skąd wyjechał. Balon Renarda miał 6 m. chyżości na sekundę, chyżość balonu Zeppelina jest o półtora metra na sekundę większą, ale mimo to, zdaniem owego aeronauty, nie stoi ona wcale we właściwym stosunku do kolosalnych rozmiarów balonu. A właśnie te rozmiary stanowią jego wadę, utrudniają manewrowanie nim, a przy napełnianiu balonu gazem, przy wzlocie i lądowaniu trudności są jeszcze większe. Dlatego też aeronauta ów twierdzi, że nowy balon nie jest wcale postępem od czasów wzlotu Renarda, zwłaszcza, że Zeppelin czekał bardzo długo na pomyślną pogodę, a mimo to potem wylądował na linii wiatru, i nie w tej okolicy, którą sobie przeznaczył do wylądowania.

Wogóle teraźniejsi technicy aeronautyczni nie są już zwolennikami balonów. Nie przedstawiają im się one wcale jako narzędzie, przy pomocy którego dałoby się rozwiązać problem latania a to z powodu swej niepraktycznej formy i rozmiarów. Do obsługi balonu trzeba mnóstwa ludzi, a przenoszenie go z miejsca na miejsce jest nader trudne. Zresztą [illegible] technicy — ciała, któreby latały w powietrzu, muszą być [illegible] cięższe od powietrza, [illegible] balon, który tworzy zawsze wielką płaszczyznę dla oporu powietrza; musi to być ciało cięższe [illegible] od powietrza. Nadto przyszła machina do latania musi absolutnie mieć o wiele większą szybkość ruchu w powietrzu, niż balon Zeppelina, bo 6, a nawet 10 metrów na sekundę jest to, na ziemi znakomitą szybkością, ale w powietrzu szybkość taka nie gra prawie żadnej roli. Aby balon miał praktyczną wartość, musi być szybszym od wiatru, a przytem trzeba przypomnieć, że [illegible] siła, potrzebna do zwalczenia tego oporu, musi równocześnie wzrość w stosunku potęgi sześciennej, czyli mówiąc bez matematycznych terminów, szybkość, a więc i siła rozpędowa balonu musiałaby być ogromną. Jakąż, to trudno podać, gdyż dotąd [illegible] meteorologiczne i fizykalne nie są [illegible] i siła taka nie prędko jeszcze da się osiągnąć.

Inny fachowy aeronauta gani przedewszystkiem także rozmiary i niepraktyczność balonu. „Wyładowania balonu — mówi on — [illegible] w sposób wygodny. Owóż jeżeli zwykły balon, na którym jest wszystko giętkie, [illegible] i miękkie, zawikła się między drzewami w lesie, [illegible] rozkładać [illegible]; któż [illegible], po- [illegible] lekki? A przyjmijmy, że w takiej chwili np. zapali się benzyna w rezerwoarach maszyn, [illegible]“

A w końcu inni jeszcze sceptycy zadają takie pytanie: Komu się przyda balon, którym nie da się dowolnie kierować? Jako środek komunikacyjny z pewnością nie zyska on znaczenia, bo balon Zeppelina może pomieścić co najwięcej kilkunastu ludzi, a jednorazowe wprawienie go w ruch na krótki czas kosztuje mnóstwo pieniędzy. [illegible] Pozostaje [illegible] wojna, [illegible] mianowicie dla rekognoskowania nieprzyjacielskiego terenu. Dla kul armatnich jest taki balon niewygodnym celem, a dziurki od kul karabinowych nie zaszkodzą mu wiele, lecz jedna okoliczność stoi i temu sposobowi zużytkowania balonu Zeppelina na przeszkodzie: oto materye, z których zwykle sporządza się balony, bardzo prędko niszczeją w przechowaniu i jeżeli niebawem jakaś wojna nie da balonowi Zeppelina sposobności do popisu, to można się spodziewać napewne, że jeżeli kiedyś potem okaże się potrzeba jego usług, będzie to już tylko ogromny wór nie do użytku.

Obok wojny są jednak jeszcze cele naukowe, tak doniosłe, że ludzkość nie powinna szczędzić żadnych kosztów dla osiągnięcia ich. Czy jednak możnaby balonu Zeppelina użyć do podróży w nieznane części naszej ziemi i np. puścić się na nim śladem Andréego? Niestety, i co do tego nadzieja jest bardzo mała, żadna bowiem z tych materyi, których można użyć do sporządzenia balonu, nie jest tak gęstą, żeby mogła zatrzymać odpowiednią ilość wodoru przez czas wystarczający na taką podróż. Wszystkie te materye są porowate i powoli przepuszczają gaz, a potrzeba przytem uwzględnić i to, że materye te rozszerzają się pod wpływem gorąca, a wtedy utrata gazu jest jeszcze szybszą. Wobec tych wszystkich wątpliwości — konkludują sceptycy — nie można powiedzieć, żeby próba lotu balonem Zeppelina szczęśliwie zainaugurowała spodziewaną w XX wieku erę rozwiązania problemu żeglugi w powietrzu.

Natomiast Zeppelin i jego zwolennicy nie tracą otuchy. Zdaniem ich rezultat pierwszej podróży nie jest fiaskiem, bo ogółem pomysł zasadniczy okazał się dobrym, a tylko jego szczegóły wymagają udoskonalenia. Próba, zrobiona w poniedziałek, byłaby wypadła o wiele pomyślniej, gdyby motory dostarczyły tej siły rozpędowej, na którą liczono, tymczasem śruby do rozbijania powietrza obracały się zamiast 1200 razy na minutę, tylko 600 razy, a wskutek tego uzyskano tylko połowę potrzebnej chyżości. Prawdopodobnie także i skrzydła u tych śrub mają u balonu Zeppelina za małą powierzchnię w stosunku do całego balonu. Skarżą się także ci aeronauci, którzy brali udział w podróży, że stery źle funkcyonowały i że manewrowanie nimi z gondoli nie było urządzone w sposób wygodny.

Ostatecznie zdaje się, że przed nową próbą lotu będzie musiał Zeppelin porobić różne zmiany w mechanice balonu, co ma być uradzonem na osobnem posiedzeniu aeronautów.

Stół cesarski.

Jeden z sędziwych dzisiaj emerytów, żyjących we Lwowie, opowiada następujący epizod z pobytu Cesarza Franciszka Józefa po raz pierwszy we Lwowie. Cesarz mieszkał wtedy w pałacu namiestnikowskim i oczywiście był ogromnie zajęty, bo w programie było mnóstwo wizytacyj, audyencyj itd., wszystko oznaczone na pewną godzinę, a, jak wiadomo, monarcha nasz zawsze lubi być punktualnym w całem tego słowa znaczeniu. Otóż z pałacu miał właśnie wyjechać i już był na schodach w towarzystwie swego przybocznego adjutanta. Emeryt, tu wspomniany, był wówczas przydzielony monarsze do boku, więc gdy Cesarz miał wyjechać, czekał go na schodach. Cesarz go nie spostrzegł, a urzędnik ów zauważył w ręku władzcy wielkiego mocarstwa owinięty w chustkę do nosa kawałek pieczonego kurczęcia; nawał zajęć nie pozwolił monarsze usiąść spokojnie u stołu i zjeść śniadanie, więc w drodze do powozu chciał się monarcha posilić; zoczywszy jednak następnie owego urzędnika, pospiesznie schował ten skromny posiłek do kieszeni kabata uniformowego.

Kurczę — to chyba nie specyał nadzwyczajny, zdobyć się nań może nawet chudeusz. Ale monarcha nasz czy w podróży, czy u siebie w domu, jest zawsze bardzo skromnym w jedzeniu i nawet lubi pod tym względem prostotę. Gdy sam przyjmuje posiłek, wtedy na stole jego nie ma większego zasobu potraw jak u każdego innego zamożnego obywatela. Tylko gdy do stołu cesarskiego zaproszeni są arcyksiążęta, wówczas ilość dań jest większa; przepych zaś widoczny jest tylko wtedy, gdy do stołu zasiadają dygnitarze obcych mocarstw, to znaczy, gdy Cesarz ze względów reprezentacyjnych musi jak „cesarz“ przyjąć swych gości.

Gospodarka, zarządzająca milionowymi wydatkami, musi naturalnie podlegać ścisłej kontroli, jeżeli wydatki nie mają dojść do nadmiernej wysokości. Cenniki rozlicznych dostawców są też brane pod rozwagę, rachunki zapisywane do książek, a wydatki ograniczane do niezbędnych. Zarząd wydatków na utrzymanie dworu cesarskiego, obecnie wzorowy, nie był takim zawsze. Dopiero od czasu, jak główna władza spoczywa w rękach dworskiego urzędu gospodarczego, który wziął na siebie wszelkie wypłaty i zakupna dla kuchni i piwnicy, stał się etat cesarskiego gospodarstwa domowego monarchy normalnym. Przeszło pół miliona zł. rocznie oszczędza się obecnie tylko dlatego, że skreślono zbyteczne wydatki, pozycye przestarzałe i śmieszne stypendya.

Anekdoty na temat gospodarstwa dworskiego, choć po największej części zmyślone, są jednak dobrą charakterystyką dawniejszej gospodarki. Wystarczy przytoczyć historyę o chorej papudze cesarzowej Maryi Teresy. Cesarz Józef II, przeglądając pewnego razu rachunki z poprzedniego roku, znalazł następującą rubrykę: „Tokaj dla papugi — 150 zł.“. Cesarz zdziwił się, gdyż w zamku nie było żadnej papugi. Po sprawdzeniu pokazało się, że pozycya ta była w rachunkach co roku przez 40 lat. Wtedy to — przed 40 laty — zaordynował nadworny lekarz tokaj dla wzmocnienia zdrowia ulubionej przez cesarzową Maryę Teresę papugi. Kupowano więc przez kilka tygodni w dworskiej aptece tokaj i wystawiono w końcu rachunek na 150 zł. Papuga zginęła już dawno, lecz utrzymała się coroczna rubryka 150 zł.

W nadwornym urzędzie, poddanym kontroli wielkiego kuchmistrza, składają swe rachunki zarządzcy poszczególnych działów gospodarstwa domowego. Zarządzcy wydają zlecenia przełożonemu kuchni i piwnicy, a ci niższemu personalowi. Nadworna kuchnia nie ma żadnych uwagi godnych urządzeń. Dwaj starsi kucharze, którzy służbę pełnią od 40 lat, skarżą się, że urządzenie kuchenne nie odpowiada nowoczesnym wymaganiom sztuki kulinarnej, tak, że każdy pierwszorzędny hotel posiada dzisiaj lepszą kuchnię. A przecież z cesarskiej kuchni wychodzić muszą same „majstersztyki“...

Posiłek codzienny monarchy jest następujący: Około godziny 5ej rano pije Cesarz kawę, wydawaną jednak nie z kuchni, lecz z dworskiej cukierni. O 12ej godzinie podają śniadanie, składające się z posilnego rosołu, potrawy mięsnej, rostbifu lub pieczeni i jarzyn. Obiad regularnie o 6ej wieczór, składa się z pięciu dań, jeżeli Cesarz jest sam. Cesarz lubi przedewszyskiem rosół i mięso wołowe, mniej zaś słodkie leguminy. Po obiedzie przedkłada monarsze kamerdyner menu na dzień następny, które Cesarz dokładnie czyta, a czasem czyni zmiany w układzie. O godzinie 8ej wieczór kolacya: tylko mleko i biszkopty.

Zanim otrzyma Cesarz kartę z wypisanem menu, przechodzi ona najpierw przez kontrolę urzędu gospodarstwa dworskiego; porządek potraw drukuje się na białych, skromnych kartach. Tylko herb rodowy z dewizą jest wytłoczony złotą farbą. Dla dokładniejszego pojęcia o menu cesarskiem podajemy tu jedno z ostatnich dni: „Potage à la Beaufort“; „Filets de fogoche à la Douglas“; „Pièce de boeuf garnie“; „Poulardes de Graz“; „Bombe à la suédoise“. Z tych pięciu dań Cesarz zaledwie dwu lub trzech dotknie ustami; reszta schodzi nietknięta; „boeuf“ bierze dwa razy, również chętnie jarzyny. Od czasu do czasu zdarza się, że monarcha taką n. p. „Bombe suédoise“, uśmiechnąwszy się, wykreśli i napisze obok na karcie: „Nie, lepiej mięso solone z kapustą!“ — Od czasu do czasu również muszą się pojawiać na stole knedle i omaszczony makaron. — Przed laty, gdy jeszcze przy „petits diners“ zasiadała cesarzowa i następca tronu, podawano typową wiedeńską potrawę: strudel z jabłkami. Obecnie jednak już tego zaniechano, a kucharz, który kiedyś był wyłącznie przeznaczony do sporządzania tej leguminy, oddawna poszedł już na emeryturę.

Wielki ruch panuje w kuchni przed balem dworskim. Bal taki zapewnia wielki odbyt; nigdy niczego nie jest za wiele, raczej za mało. Cena obiadu jest rozmaita. Zarząd gospodarczy wydaje rozporządzenia szefowi kucharzy, czy ma być *sehr fein sortirt*, *fein sortirt*, czy tylko *sortirt*. Różnice w cenie między poszczególnymi stopniami jakości wynoszą przy większych uroczystościach kilka tysięcy złr. *Sehr fein sortirt* bywa jednak tylko z niezwykłych powodów.

W nowym zamku zajęła kuchnia bardzo pokaźne miejsce. Są już gotowe elektryczne piece, windy i inne ulepszenia, wobec czego wielki kuchmistrz z niecierpliwością wyczekuje już godziny objęcia w zarząd nowego budynku.

Dworska cukiernia, prowizorycznie umieszczona w szczupłym lokalu, oczekuje również zmiany na lepsze. Dla osoby Cesarza szef cukierników mało ma do czynienia. Cesarz nie lubi w ogólności słodyczy, a w szczególności cukrów. Zaczyna się jednak praca bez wytchnienia, gdy ma się odbyć bal dworski. Aby dać wyobrażenie, ile słodyczy jest spożywanych na takim balu, dość powiedzieć, że wyrabia się 8 centnarów cukierków, z których dwa przeznaczone są do bufetu, a resztę roznosi służba. Dla Cesarza przyrządza cukiernia tylko — jak już wspomnieliśmy — ranną kawę.

Najbardziej zajmujące są bez wątpienia piwnice dworskie. Pierwsza piwnica mieści napoje zagraniczne. W tym oddziale znajdują się sprowadzane z zagranicy wina deserowe i stołowe — najlepsze, na jakie stać pierwszorzędne firmy światowe. Ulubionem winem Cesarza jest bordeaux, zwłaszcza marki Chateau d'Issant. Bordeaux znajduje się codzień na stole cesarskim. Przy zupie pije monarcha wino hiszpańskie, Sherry lub Madeirę; następnie bywa podawane wino austryackie, Gumpoldskirchner lub Retzer, w końcu Bordeaux i likier Chartreuse, często także benedyktynka; wina reńskiego Cesarz nie lubi. W niedziele i święta jest podawany szampan; zresztą tylko wtedy, gdy Cesarz zażąda tego wyraźnie, co się trafia od czasu do czasu.

W bogatym wyborze stoją wina z Bordeaux na półkach, wina reńskie w niezliczonych gatunkach, wreszcie prawdziwe bogactwo wina tokajskiego. Wszystkie światowe firmy są tu reprezentowane. W zaprószonych, czerwono opieczętowanych flaszkach są przechowywane „Kronessenzen“, dostarczane tylko do piwnic cesarskich. Z całego winobrania w latach 1864 i 1867 tokaj dostawiony był do piwnic dworskich; zresztą prawdziwego tokaju nie można nigdzie spotkać, jak tylko w piwnicach cesarskich. Zwykłe sorty sprowadza nadworna apteka w razach zapotrzebowania w cenie 6 złr. za flaszkę pół-litrową. Cena najlepszych essencyj jest tak wielka, że mogą się one znajdować tylko na stole cesarskim. Łatwo w obec tego pojąć, jak prawdziwie książęcym darem były przed kilku laty przesłane królowej angielskiej Wiktoryi cztery kosze po 10 flaszek tokaju „Kronessenz“.

W tym oddziale umieszczone są również najznakomitsze marki szampana; najobficiej Veuve Cliquot Consardin. Oprócz tego wina burgundzkie i „Cognac mousseux“, opatrzone datą i określeniem jakości. Z win hiszpańskich głównie Sherry. Wino jest ściągnięte do flaszek, zawierających ósmą część litra; Cesarz bowiem lubi gdy mu podadzą Sherry w małej flaszce, zawierającej właściwą miarę. Perłą piwnicy jest francuski koniak, z którego tylko trzy flaszki pozostały. Jest to dar zmarłego właściciela hotelu Stipperger'a. Ten koniak Cesarz przenosił nad inne, to też piwniczny troska się o to, co uczynić, gdy tej marki zupełnie zabraknie.

W piwnicy win zagranicznych znajdują się także wina, które Cesarz otrzymał w podarku. Z tych darów zyskała uznanie tylko Majlacka śliwowica z roku 1790. Zostały już tylko 2 flaszki, a nad półką, gdzie jest umieszczona, znajduje się napis: „Prywatna własność Jego Cesarskiej Mości“. Napis ten ostrzega, by owej śliwowicy nie podano nikomu, prócz Cesarza. Z tego przedniego napoju bierze Cesarz zawsze mały zapas ze sobą na manewry.

W drugiem, niższem piętrze umieszczone są wina w wielkich beczkach. Temperatura wynosi tu 9°, a w piwnicy win zagranicznych 10°. Beczki naznaczone są herbem Habsburgów, a nadto obok dokładnego „Pedigree“ znaki „SW“, „OW“ i „HW“, co znaczy: „Soldaten-Wein“, „Offiziers-Wein“ i „Herschafts-Wein“. Tylko ostatnia z tych sort ukazuje się na stole cesarskim, chociaż, jak słusznie zauważa przełożony piwnic, kupione w r. 1860 wino dla oficerów, dawno już stało się winem wyborowem.

Powietrze w tych piwnicach bardzo ciężkie; zaduch z wina odurza, a piwniczy opowiada, że czuje je w nogach, gdy wizytuje niżej położone składy. Piwnice rozciągają się pod zamkiem aż do Bellaria. — W rzędach stoją beczki jedne przy drugich, a coraz to większe. Na beczkach tych, kupowanych po największej części na światowych wystawach lub otrzymanych w darze od krajów koronnych, są wyrzeźbione różne figury i sentencye. Jeszcze o jedno piętro niżej znajduje się piwnica, w której ustawione są tylko hektolitrowe beczki i jedna osobliwa, zawierająca 240 wiader. Powietrze tu jeszcze bardziej odurzające. Dworska piwnica oszacowana jest na więcej, jak dwa miliony złr.; sama tylko piwnica win zagranicznych warta około 100.000 złr. — Jeżeli Cesarz bawi na zamku, musi zawsze służący przepędzać noc w piwnicy, nieraz bowiem się zdarza, że Cesarz zażąda w nocy szklanki szampana lub kieliszka koniaku.

Osobny zarząd czuwa nad zastawą cesarskiego stołu, nad naczyniami srebrnemi i porcelanowemi. W kilku komnatach złożone są najwspanialsze sprzęty, służące do bogatej zastawy stołu, drogie porcelany z czasów Maryi Teresy i srebra, roztaczające swój blask jedynie podczas uczt galowych. Cesarz bowiem i pod tym względem lubi prostotę; talerze, przeznaczone dla jego użytku, są z cienkiej porcelany, ozdobionej herbem rodowym, a łyżki srebrne zwyczajne; ozdobnych cesarz nie lubi. Noże i widelce niczem nie różnią się od używanych w zamożnym domu mieszczańskim.

Z izby sądowej.

Wiedeń 4 lipca.

(Kwalifikacye kierowników kopalń.)

Starostwo górnicze w Krakowie wydało w roku 1898 instrukcyę, w której między innemi żąda od kierowników i nadzorców kopalń wosku ziemnego w Galicyi, aby przed ustanowionym komitetem w przeciągu sześciu miesięcy ponownie złożyli egzamin i przez to kwalifikacyę swoją ponownie wykazali, pod grozą usunięcia ich od kierownictwa tych kopalń. Na rekursa interesantów odpowiedziało starostwo górnicze odmownie, wskutek czego wniósł p. Władysław Łucki i towarzysze zażalenie do trybunału administracyjnego, przed którym odbyła się dnia 3 bm. rozprawa.

Zastępca p. Łuckiego i towarzyszy, adwokat wiedeński dr. Edmund Kornfeld dowodził na niej, że w myśl § 24 ustawy naftowej kierownicy kopalń w tym charakterze już przez władzę zatwierdzeni, nie mogą być zmuszani do ponownego wykazania swej kwalifikacyi w drodze egzaminu, a usunąć ich wolno tylko wtedy, jeśli władza górnicza dowiedzie, że nie są zdolni do kierownictwa kopalń.

Trybunał administracyjny uwzględnił zażalenie i orzekł, że ustęp instrukcyi, wymagający ponownych egzaminów od osób zatwierdzonych już na kierowników pewnych kopalń, jest nieważny, jako sprzeczny z § 24 ustawy naftowej.

* * *

Kraków, 5 lipca.

(Młody lecz wykolejony).

Dziś stanął tu przed sędziami przysięgłymi niezwykle ruchliwy i zręczny eskamoter cudzej własności, nazwiskiem Wiktor Szumlański, lat 20 zaledwie liczący. Wychowany w najgorszych warunkach domowych rodziny niegdyś zamożnej, bez żadnego wykształcenia, pracował jako prosty robotnik; sprzykrzył sobie wszakże pracę i rzucił się do kradzieży z początkiem bieżącego roku. Jako specyalność obrał sobie kradzież garderoby i doszedł w tej mierze do takiej zręczności, że w przeciągu kilkunastu dni spełnił 26 kradzieży różnych przedmiotów ubrania w ogólnej wartości 1.426 koron 76 halerzy.

Sędziowie przysięgli zatwierdzili pytanie co do zbrodni kradzieży i Szumlański skazany został na 3 lata ciężkiego więzienia.

KRONIKA.

Lwów 6 lipca.

Rada m. Lwowa. Na posiedzeniu wczorajszem załatwiono najpierw sprawę defraudacyi, popełnionej przed pół rokiem w biurze egzekucyjnem Magistratu. Skradziono wówczas 4.698 K. 65 h., a sprawca przepadł bez wieści. Ponieważ były to jednak pieniądze rządowe, które wyegzekwowano od kontrybuentów podatkowych, więc trzeba było pieniądze te rządowi oddać. Wczoraj więc uchwalono wyasygnować tę kwotę z kasy miejskiej.

Dostawcom mundurów dla służby miejskiej, pp. Maysenhälterowi i Romaniszynowi, podwyższono cenę ofertową, w roku poprzednim ustanowioną, o 5 prc. wskutek tego, że — jak zapewniają ci dostawcy, — sukno w ostatnich czasach podrożało o 25 prc.

Następnie odbyło się posiedzenie poufne, na którem zamianowano: kierownikiem zakładów wodociągowych młodego a wielce zdolnego inżyniera miejskiego Stan. Aleksandrowicza, a asystentem jego Maryana Dziewońskiego; katechetą rz.-kat. szkoły im. Konarskiego mianowano ks. Stan. Sokołowskiego; adjunktem urzędu budowniczego Jana Langiego. W izbie obrachunkowej mianowani zostali pp.: rewidentem nadliczbowym Tarnawiecki, adjunktami I klasy: Hordyński, Waligórski i Szostal; adjunktami II klasy: Kuczkowski, Hebenstreit, Karich i Bidziński; asystentami: Uszyński, Wolański, Wajdowski i Pierożyński.

Do Paryża wybierają się dnia 14 b m. nauczyciele galicyjskich szkół ludowych i wydziałowych, aby zwiedzić wystawę i uczestniczyć w kongresie nauczycieli ludowych i wydziałowych, który się odbędzie w dniach od 2 do 5 sierpnia.

Zakaz. Ministerstwo wojny zabroniło lekarzom wojskowym wziąć udział w zjeździe lekarzy i przyrodników polskich, który się odbędzie w Krakowie. Komitet zjazdu odniósł się do jenerała Alboriego i ministra Piętaka z prośbą o interwencyę w celu zniesienia tego zakazu.

Ślub panny Elżbiety Haller, córki śp. Władysława i Lucyny z Urbańskich z p. Julianem Zakrzeńskim, właścicielem Piechowa w Królestwie Polskiem, odbył się dnia 30 czerwca w Krzęcinie. Ojciec św. nadesłał błogosławieństwo dla młodej pary.

Nowy teatr. Wydział krajowy zatwierdził wybór p. Pawlikowskiego na dyrektora nowego teatru, oraz zawarty z p. Pawlikowskim przez gminę kontrakt. Wobec tego, że powstaje komisya artystyczna miejska, krajowa zostanie zniesiona, a ze strony Wydziału krajowego nie będzie w miejskiej delegatów. Dla marszałka krajowego zastrzegł sobie Wydział krajowy w nowym teatrze lożę, jednakże nie bezpłatną, lecz po cenie abonamentowej, a dla krajowego referenta teatralnego bezpłatny fotel.

Załoga tarnowska w areszcie. W Tarnowie przyszło tymi dniami do gwałtownej bójki między żołnierzami piechoty i kawaleryi o dziewczynę. Jeden ułan i dziewczyna padli w tej walce trupem, a nadto jeden żołnierz dogorywa w szpitalu. Komendant garnizonu tarnowskiego nałożył na całą załogę areszt koszarowy.

Z Truskawca nam piszą: Dnia 30 czerwca odbył się w Truskawcu wieczorek muzyczno-deklamacyjny na rzecz przebudowania miejscowej kapliczki, która wobec licznego napływu kuracyuszy staje się zbyt ciasną i małą. Wieczorek udał się nadspodziewanie dobrze, mówię nadspodziewanie, bo z osób, biorących w nim udział, większa część po raz pierwszy w życiu wystąpiła publicznie, co zwykle nie przyczynia się do upiększenia takich występów.

P. Winiarski zagaił wieczorek odśpiewaniem „Piosnki o piosnce“ Kratzera i „Śpiewu Janka“ Wrońskiego. Bardzo sympatyczne wywarła wrażenie barwa jego głosu i wogóle zadziwił publiczność wszechstronnością swoich talencików. Na wieczorku tym bowiem: śpiewał, deklamował i wreszcie jako Robert d'Albinois wystąpił w komedyjce „Łapka na myszy“.

Po nim młodziutka panna Łucka odegrała na skrzypcach „Melodyę“ Barcewicza, a odegrała ją prześlicznie. Główną cechą jej gry: ogromna doza uczucia, wielkie zrozumienie muzyki i głębokość każdego tonu, którym przemawiała do słuchaczy. To też wywoływano ją i podziękowano jej rzęsistemi oklaskami.

Następnie p. Marya Walewska odegrała przepięknie „Barcarolę“ Rubinsteina i „Marsz żałobny“ własnej kompozycyi. Marsz ten napisała p. Walewska przed dwoma laty pod wpływem wiadomości o strasznym zgonie Cesarzowej Elżbiety. Tragiczność tego zgonu oddziałała nadzwyczaj silnie na młody a wrażliwy umysł tej tak nadzwyczajnie utalentowanej autorki; to też wspomniany marsz jest pełen tak wielkiego bolu, takiej rozpaczy bezbrzeżnej, że działa przejmująco nawet na osoby, mało poddające się muzyce. Cóż dopiero, gdy grała go sama autorka, z ogromnem przejęciem się, uwydatniając wszystkie piękne strony utworu. To też uwieńczono ją gorącemi oklaskami i wywoływaniami.

Pani Hausenbickel odśpiewała aryę z „Halki“ głosem silnym, w którego drżeniu jednak czuć było emocyę. Uczucia wlała wiele, cieniowała artystycznie. Żałowano tylko tego głosu na estradę tutejszą nieakustyczną, niską i tłumiącą wszelkie efekta.

Na zakończenie panna Macielińska i p. Winiarski odegrali komedyjkę Roseaux'a „Łapka na myszy“. Gra ich była pełną życia, brawury i dowcipu.

Zarząd tutejszego zakładu wielce się przyczynił do urządzenia tego wieczorku. Estradę udekorował, biorącym udział w koncercie wspaniałe ofiarował bukiety. Wogóle przyznać trzeba, że nietylko stara się on o wygodę dla swoich gości, ale i o uprzyjemnienie im tutaj pobytu, za co ci goście są mu serdecznie wdzięczni.

Jeden z kuracyuszy truskawieckich.

† **Tadeusz Wacław Münnich**, architekt i profesor budownictwa w szkole przemysłowej, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru wczoraj około godziny 9-tej rano. Zmarły był człowiekiem młodym, gdyż liczył dopiero niespełna lat 39. Jako architekt, był on jednym z najzdolniejszych uczniów śp. profesora Zacharyewicza i poświęcał się głównie romańszczyźnie. Kilka budowli, które należą do najpiękniejszych we Lwowie, zawdzięcza zmarłemu swoje powstanie, bądź przez to, że zbudowano je według samoistnych jego planów, bądź, że chociaż skomponowane przez Zacharyewicza, były przez niego w szczegółach wykonane. Ostatnich 7 lat życia zatruła mu neurastenia, która pod koniec doszła do tego stopnia rozwoju, że śp. Münnich jął powoli tracić wzrok i słuch. Ten beznadziejny stan zdrowia wywołał też w nim melancholię i w przystępie jednego z silniejszych jej ataków śp. Münnich odebrał sobie życie kulą skierowaną w usta. Osierocił żonę i troje dzieci. Pogrzeb odbędzie się jutro w sobotę z domu przy ul. Nabielaka l. 22.

Krakowska Rada powiatowa na odbytem wczoraj posiedzeniu uchwaliła między innemi wznowić petycyę do Sejmu o zmianę ustawy drogowej w tym kierunku, aby nie dające się wyegzekwować robocizny w gminach z ludności niestale osiadłej, zamienione zostały na dodatki do podatków.

Intendent warszawskich teatrów jenerał Iwanow otrzymał na swą prośbę półroczny urlop dla poratowania zdrowia. Sądzą jednak, że jenerał chce całkowicie usunąć się od obowiązków prezesa teatrów, gdyż czuje się na stanowisku niewłaściwem. Jenerał Iwanow jest urzędnikiem uczciwym i pełnym dobrych chęci, lecz nie zajmował się nigdy teatrem, a nawet nie znał języka powierzonej sobie instytucyi. Mimo to jednak zdziałał na tym swoim trudnym posterunku trochę dobrego. Zarząd spraw teatralnych powierzył jenerał gubernator prowizorycznemu komitetowi, z wiceprezesem teatrów rządowych radzcą Vacqueret'em na czele.

Pielgrzymka Tercyarska jubileuszowa do Rzymu wyruszy z Krakowa dnia 10 września b. r. Jadąc przez Wiedeń i Pontebbę, pielgrzymi zwiedzą po drodze Wenecyę, Padwę, Loret i Asyż i przybędą do Rzymu dnia 18 września, skąd dnia 28 września wyruszą z powrotem do Krakowa przez Florencyę, Bolonię itd. Bilet III klasą tam i z powrotem wraz z noclegami w drodze, a pomieszkaniem i wiktem przez dni 10 w Rzymie kosztuje 70 zł., II klasą 120 zł. Zgłoszenia i pieniądze najdalej do 15 sierpnia przyjmują: O. Zygmunt Janicki, definitor i gwardyan Braci Mniejszych w Krakowie, Reformacka 4, oraz O. Stefan Podworski, gwardyan Braci mniejszych w Alwernii (Galicya).

Do Szczawnicy przybyło od 16 do 25 czerwca 277 kuracyuszy; ogólna cyfra przybyłych do 25 czerwca gości, wynosi 564.

Z Chojnic donoszą: W jeziorze w Kamieniu, oddalonym o 20 kilometrów od Chojnic, dzieci znalazły obojczyk ludzki, — przypuszczalnie obojczyk Wintera. Obaj Lewy'owie, ojciec i syn, opuścili Chojnice, rzekomo „za interesami“. Sąd skazał na pięć lat domu karnego Moritza Schlochauera za krzywoprzysięstwo podczas zeznań w sprawie zbrodni, spełnionej na Winterze. Co do rzeźnika Hoffmana, protestanta, który publicznie oskarżył starego Lewy'ego o zamordowanie Wintera, to Lewy nie zaskarżył Hoffmana, a śledztwo przedwstępne przeciw Hoffmanowi o tę samą zbrodnię, dla braku dowodów winy zostało umorzone. W Chojnicach gwałtów antysemickich już nie ma, ale mimo to ludność chrześcijańska taką płonie do żydów niechęcią, że puszcza na ulice psy i koty z wstążeczkami, na których jest kartka z napisem: „Nie kupujcie u żydów!“

Z Towarzystwa Kółek rolniczych. W pierwszym dniu posiedzenia Rady Ogólnej Kółek rolniczych w Łańcucie rozwinęła się bardzo ożywiona dyskusya nad sprawozdaniem Zarządu głównego z działalności w roku 1899; zabrał w niej najprzód głos ks. Żygliński, polemizował z zarzutami, poczynionemi Kółkom rolniczym przez dra Krzyżanowskiego w jego „studyach agrarnych“. Zarzuty te cechuje ks. Żygliński jako złośliwe a świadczące o nieznajomości ludu i stosunków rolnictwa w praktyce. Równie gwałtownie atakował także ks. Żygliński Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, za to, że daje tylko 300 zł. rocznej subwencyi Kółkom; niechby lepiej dało większą subwencyę coroczną zamiast 6 prc. opustu dla członków. Ks. Stojałowski uskarżał się na to, że rząd

daje Towarzystwu gospodarskiemu 30.000 zł. subwencyi rocznie, bo ono służy obszarom dworskim, a na Kółka rolnicze, które służą ludowi, tyle co nic. Rząd powinienby także postarać się o to, aby zaprowadzić przymusowe Kółka rolnicze. Uskarżał się także mówca, że w niektórych Kółkach rolniczych zanadto kwitnie polityka.

Wywody ks. Stojałowskiego zbijał prezes Kółek p. Cielecki, podnosząc, że subwencyi rządowej na Towarzystwo gospodarskie używa się wyłącznie na podniesienie gospodarstw włościańskich. Polemizowali także z ks. Stojałowskim dr. Dulęba, ks. Sękowski i ks. Wesoliński, który wyraził zdziwienie, że ks. Stojałowski, który stara się, aby wszystko działo się bez współudziału rządu, chce teraz wprowadzania przymusowych Kółek rolniczych pod egidą rządu.

Jeszcze kilku innych mówców przemawiało, poczem przyjęto sprawozdanie Zarządu do wiadomości. Następnie dr. Stefczyk odczytał referat o „organizacyi handlu w sklepikach Kółek rolniczych", objaśniając postanowienia nowego, przez siebie dla tych sklepików ułożonego regulaminu.

Po dyskusyi nad referatem dra Stefczyka nie przyjęto rezolucyi proponowanych przez referenta lecz uchwalono: 1) reaktywować zniesione przez Zarząd wędrowne kandlowe, 2) Zaprowadzić stałe praktyczne kursa handlowe, na wzór kursów Czerniechowskich, w niektórych częściach kraju, 3) utworzyć przy zarządzie głównym biuro informacyjne dla Kółek w sprawach handlowych i przemysłowych, oraz 4) dążyć do decentralizacyi hurtownego zaopatrywania Kółek zapomocą samoistnych składów lub Spółek handlowych w okręgach politycznych.

Potem zwiedzili uczestnicy Rady z wielkiem zainteresowaniem wystawę powiatową umieszczoną w sali Towarzystwa zaliczkowego. Na wystawę tę złożyły się wyroby krajowej szkoły tkackiej w Łańcucie, krajowej szkoły sukienniczej w Rakszawie, powiatowej szkoły koronkarskiej w Kańczudze, szkoły koszykarskiej w Albigowej, dalej produkta fabryki rozolisów w Łańcucie, parowego browaru piwnego w Łańcucie, cukrowni w Przeworsku itd.

Tego samego dnia odbyła się jeszcze wspólna uczta, na której wzniesiono wiele ładnych toastów. Po uczcie część delegatów wyjechała do oddalonej o 11 km. od Łańcuta Rakszawy celem zwiedzenia tamtejszej szkoły sukienniczej.

Drugi dzień obrad ogólnej Rady, tj. 4 lipca, rozpoczął się zwiedzeniem szkółki drzew owocowych Towarzystwa Kółek rolniczych w Łańcucie, które wpłynęło na wielu zebranych, jako przykład bardzo zachęcający. Potem p. Turnau odczytał referat, pouczający zebranych o zadaniach założonego świeżo przy głównym zarządzie biura rolniczego i zalecał delegatom, aby korzystali z całą ufnością z informacyi tego biura. Nad tym referatem rozwinęła się dość długa dyskusya, w której wśród innemi zaproponowano i przyjęto wnioski, zmierzające do podniesienia sadownictwa i pszczelnictwa w kraju i zarazem energicznego szkolnictwa w kółkach owocowych.

Uchwalono też rezolucyę, zmierzającą do zaprowadzenia w każdej gminie jednego narodowego buhaja. Jeden z uczestników Rady opowiadał o organizacyi straży ochotniczej w Trzcianie, założonej przez tamtejsze Kółko rolnicze i zalecał, żeby inne Kółka szły także za tym przykładem.

Następnie udzielono Zarządowi głównemu absolutoryum za rachunki w r. 1899, odczytano wnioski wniesione przez różne powiatowe zarządy i przekazano je zarządowi głównemu do zbadania, a w końcu po wyczerpaniu porządku dziennego prezes p. Cielecki zamknął obrady II Rady ogólnej. Wieczorem pożegnali się uczestnicy Zjazdu na uczcie w Kasynie miejskiem.

Kolej syberyjska, co łącznik Europy z dalekiem wschodem, zwraca obecnie coraz bardziej uwagę na siebie z powodu zatargów wojennych w Chinach i dlatego nie od rzeczy będzie, gdy powtórzymy, co o olbrzymiej tej kolei pisze korespondent warszawskiej *Gazety Polskiej*, zamieszkały w Tomsku. Donosi on, że z początkiem roku bieżącego połączono administracyjnie kolej zachodnią z środkowo-syberyjską. Zarządy połączonych kolei zorganizowano w Tomsku w ten sposób, że biura zarządu kolei zachodnio-syberyjskiej przeniesiono z Czelabińska do Tomska i tu połączono je z biurami zarządu kolei średnio-syberyjskiej. Wskutek tego około 90 urzędników z zarządu kolei średnio-syberyjskiej spadło z etatu. Wszelako i tych nie uwolniono, lecz rozmieszczono im posady z podwyższoną płacą na kolejach zabajkalskiej i mandżurskiej, na wszystkich uwolnionych urzędników zgodziła się wziąć inny już więcej chętnie. W ten sposób kolej syberyjska na przestrzeni od Czelabińska do Irkucka, wraz z odnogami kolejowemi do Tomska i do jeziora Bajkalskiego, jest obecnie pod jednym zarządem. Niewątpliwie osiągnięto przez połączenie dwóch linii znaczne oszczędności i pożądaną jednolitość w eksploatowaniu wielkiej kolei syberyjskiej, niemniej jednak administrowanie 3000 wiorstowej linii kolejowej połączone jest z wielu trudnościami, zwłaszcza w kraju mało zaludnionym i w wielce niedogodnych warunkach klimatycznych. Naczelnikiem połączonych linij kolejowych jest obecnie dotychczasowy inżynier Pawłowski, były naczelnik kolei zachodnio-syberyjskiej. Naczelnikiem trakcyi jest inżynier Twardowski, a naczelnikiem wydziału handlowego świeżo zamianowany został inżynier Uliński, poprzednio naczelnik wydziału ruchu na kolei średnio-syberyjskiej, — a zatem trzej główni kierownicy są Polakami.

Coraz więcej ujawnia się fakt, że kolej syberyjska w dzisiejszym swym stanie nie jest zdolna podołać wzrastającemu z każdym miesiącem ruchowi towarowemu, pomimo, że tabor tej kolei jest nader słaby w porównaniu z tym, jakiego spodziewać się należy po wykończeniu linii zabajkalskiej, około Bajkalskiej i mandżurskiej. Ułożeniu drugiego toru stoją na przeszkodzie wąskie mosty kolejowe, przy dodatkowej budowie których niewątpliwie eventualności wzmoże się na niej ruch do tego stopnia, że jeden tor okaże się niedostateczny. Niedogodnościom zarząd połączonych kolei stara się zaradzić przez zwiększenie ilości rozjazdów i przystanków, tak, że obecnie pomiędzy każdemi dwiema stacyami będzie przystanek i rozjazd kolejowy. Na całej też linii zamienia się powoli relsy lekkiego typu na szyny cięższego typu, wytrzymałe na wzmożony ruch ciężkich pociągów towarowych. Wzmacnia się też każdorocznie mosty, a drewniane mostki zwolna zamieniane są na żelazne.

Znakomity uczony polski. W dwóch feljetonach *Gazety warszawskiej* p. J. Ilgowski przypomina zasługi znakomitego orientalisty prof. Józefa Kowalewskiego w setną rocznicę urodzin. Rówieśnik i współtowarzysz Adama Mickiewicza, Józef Kowalewski urodził się w guberni grodzieńskiej w roku 1801 i kształcił się za rektoratu Szymona Malewskiego w uniwersytecie wileńskim. Początkowo studyował on filologię klasyczną, los jednak skierował go do badań na dalekim Wschodzie. W r. 1824 Kowalewski znajduje się w Kazaniu, gdzie studyuje języki wschodnie, a w trzy lata później otrzymuje misyę do badania języków: mongolskiego, buryackiego i tungulskiego wśród plemion koczowniczych. Języki te były zupełnie niezbadane i Kowalewskiemu przypadło w udziale stworzyć niejako ich gramatykę. Niełatwe to było zadanie. Przed 70-ciu laty podróż po Mongolii i kraju zabajkalskim nie mogła porównać się z dzisiejszą. Kowalewski też w odzieży wędrownego lamy, z ogoloną głową błąkał się po stepach od koczowiska do koczowiska, zaznajamiając się z językiem, obyczajami i obrzędami mongołów, tudzież gromadząc cenne rękopisy. Uczony nasz był też we Pekinie, gdzie przemieszkał 13 miesięcy, a to w epoce, gdy stolica Chin była prawie niedostępna dla europejczyków. W Chinach, dzięki życzliwości jednego z kapłanów Buddy, Mindżuła, Kowalewski zebrał wiele manuskryptów, a między innemi ciekawe dokumenty do historyi Dżengischana.

Przez Kiachtę i Irkuck powrócił Kowalewski do Petersburga, przywożąc z sobą, oprócz cennych materyałów do gramatyki i słownika mongolskiego, mnóstwo rzadkich rękopisów, które wcielono w części do biblioteki akademii miejscowej, w części zaś do zbiorów uniwersytetu kazańskiego. Po powrocie do Kazania w roku 1833 uczony nasz otrzymał niebawem stopień profesora języków wschodnich i wydał „Krótką gramatykę mongolską" (1835), „Wypisy do nauki języka mongolskiego" (1836), a wreszcie kapitalny swój „Słownik mongolski" (3 tomy z tekstem rosyjskim i francuskim 1841 — 1846 r.) W r. 1862, po wysłużeniu emerytury, Kowalewski przybywa do Królestwa i tu wstępuje do Szkoły Głównej w charakterze profesora zwyczajnego. W dniu 7-ym maja 1878 roku na uniwersytecie warszawskim obchodzony był 50-letni jubileusz zawodu naukowego zasłużonego profesora, a w dniu 7-ym listopada tego roku sędziwy nasz uczony zmarł na posterunku, w gmachu uniwersyteckim.

Prócz wspomnianych powyżej dzieł, przytacza p. Ilgowski nadto szereg szkiców i prac podróżniczych prof. Kowalewskiego, umieszczonych przeważnie w *Tygodniku petersburskim*, jak np. „Pobyt wśród buryatów", „Geograficzny zarys Azyi wschodniej", „Podróż z Mongolii do Chin". „Szkoda — powiada autor — że prace te, którym uczony nasz poświęcił najlepsze lata swego życia, stanowią dziś rzadkość bibliograficzną".

Przypomnienie tych prac w chwili, gdy Wschód daleki coraz żywszy interes budzi wśród ludów Europy, byłoby bardzo pożądane. Nie szkodzi nic, że powstały one jeszcze w czwartym dziesiątku bieżącego stulecia, pisał je bowiem rzadki znawca Wschodu, a bezwładny Wschód nie żyje, jak my, życiem gorączkowem.

Zmarli. We Lwowie Marya z Aystettenów Hellerowa, wdowa po starszym geometrze ewidencyjnym; August Schumann, obywatel i b. radny m. Lwowa, lat 73.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +15, w poł. +20 R. Bar. 765. Podnosi się. Pogoda.

Z teki mizantropa.

Tam, gdzie każdy z bardzo wielu osób
Robić dobrze pragnie na swój sposób,
Mając ogół li *tylko na względzie*,
Tam się dobrze nigdy dziać nie będzie.

U chorego skąpca.

Chory. Doktorze, nie mogę spać w nocy, przewracam się z boku na bok.

Lekarz. To źle. Proszę pokazać puls. Teraz język. Fizycznie jesteś pan zdrów zupełnie. Ale jestem pewien, że pana sumienie gryzie na myśl, żeś mi dotąd za ostatnie dwa lata kuracyi nie zapłacił.

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś w piątek nie ma przedstawienia. W sobotę „Noc w Wenecyi" Jana Straussa. W niedzielę „Orfeusz w piekle", czarodziejska opera komiczna w 4 aktach Offenbacha. W poniedziałek nie będzie przedstawienia. We wtorek „Opowieści Hoffmana", opera fantastyczna w 4 aktach Offenbacha.

Literatura i sztuka.

* **Artystyczne karty korespondencyjne** wydał p. F. Niżałowski, właściciel sklepu z przyborami do pisania i rysowania we Lwowie. Karty p. Niżałowskiego ozdobione są kolorowymi widokami ulic i gmachów lwowskich, wykonanymi według akwarel artysty-malarza Setkowicza. Co do artystycznego wrażenia, jakie czynią te karty, zauważyć należy, że rażą one trochę tylko ostrością konturów i zbytnią dokładnością w szczegółach ornamentacyi poszczególnych budynków i ich otoczenia. Oryginały znacznie większe od reprodukcyj na kartach, chociaż rysowane według zdjęć fotograficznych lub z planów, mniej tem rażą, a są zarazem większe i cieplejsze w kolorycie. Na reprodukcyach zdrobniało to wszystko, pozaostrzało się i koloryt jest w nich znacznie ciemniejszy. Ponieważ jednak dają wcale dobre wyobrażenie o tem, co przedstawiają, i to w formie o wiele więcej artystycznej niż ogromna większość bezmyślnych zagranicznych fabrykatów w tym rodzaju, więc należy im się bezwarunkowo pierwszeństwo u publiczności, zwłaszcza wobec bardzo przystępnej ceny, gdyż serya, złożona z pięciu kart, kosztuje razem 60 h.

* **Naokoło świata,** serya II, zeszyt 4, zawiera widoki z nad morza Czerwonego, a więc cysterny w Adenie, ulicę w Dżeddah, pochód pielgrzymów idących do Mekki, widok na nadbrzeżne miasto Suakim, bazar w tem mieście i kilka obrazków rodzajowych, przedstawiających życie ludności tamecznej. Reprodukcye chromofotograficzne odznaczają się tą samą dokładnością i wyrazistością wykonania, które cechowały poprzednie zeszyty tego ładnego i pouczającego zarazem wydawnictwa illustrowanego. Zeszyt ten, równie jak poprzednie, rozpoczyna się tekstem, objaśniającym treściwie znaczenie reprodukcyi pod względem geograficznym i etnograficznym.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 4 lipca.

(Z.). Do tej pory zapatrywały się giełdy całkiem spokojnie na wypadki w Chinach, dziś jednak zmieniła się scenerya. Miejsce dotychczasowej obojętności zajęła jakaś nerwowa gorączka i niepokój, który zwłaszcza w Berlinie przybrał cechy popłochu. Najrozmaitsze pogłoski podawano sobie z ust do ust, a najbardziej sensacyjną z nich była ta, że parlament niemiecki ma być zwołany, by uchwalić wielką pożyczkę na cele wojenne. Wobec tej pogłoski komentowano sobie także w duchu wojennym toast wypowiedziany przez cesarza Wilhelma II na cześć księcia Ruprechta bawarskiego z okazyi spuszczenia na wody nowego okrętu „Wittelsbach". Pod wpływem tych okoliczności nastał w Berlinie ogromny spadek kursów. Papiery, uchodzące za najlepsze, spadły w cenie o 10—15%, przyczem zauważyć można było, że publiczność niemiecka pozbywała się wszelkich wogóle papierów, mających bodaj cokolwiek charakter spekulacyjny, a więc akcyi zarówno przemysłowych, jak i bankowych, a kupowała rentę. Znacznym był także spadek w Paryżu, a w Londynie ograniczał się on jedynie do renty chińskiej, która spadła o 2½%, natomiast akcye afrykańskich kopalń złota podniosły się w cenie. Nasz targ za słabym jest, aby mógł bodaj na chwilę oprzeć się temu prądowi zniżkowemu, to też i u nas był kolosalny spadek.

Z Paryża donoszą, że akcye przedsiębiorstwa wagonów sypialnych spadły tam dziś o 200 franków, z 700 na 500, jakkolwiek skutkiem wystawy dochody przedsiębiorstwa z wagonów sypialnych są o 10 do 11.000 franków dziennie większe od normalnych. Powodem spadku dzisiejszego jest jednak to, że Towarzystwo to wdało się w rozmaite przedsiębiorstwa wystawowe, które się nie rentują, wybudowało bowiem dwa hotele wystawowe i urządziło „stary Paryż" i panoramę przedstawiającą podróż z Moskwy do Pekinu i te przedsiębiorstwa wystawowe przynoszą stratę.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 680·00, węgierskie 712·00, Anglobanki 280·00, Uniony 561·00, Bankvereiny 499·20, Länderbanki 428·50, Ludwiki 422·00, Czerniowieckie 530·00, Elbethale 468·00, Renta papierowa 97·55, srebrna 97·20, austryacka złota 116·00, austr. renta wal. kor. 97·25, węgierska złota 115·60, węgierska renta wal. kor. 91·15, dukat 11·33, frankówka 19·29, marki 23·71, ruble 2·55—.

§ **Wiedeń** 6 lipca. Izba giełdowa zrównała akcye galicyjskiego Banku hipotecznego emisyi z r. 1900 co do wartości z dawniejszymi akcyami tego instytutu.

§ **Z kolei.** Austryacko-rumuński ruch osobowy. Z ważnością od 1 sierpnia 1900 wchodzi w życie nowa taryfa dla powyższego ruchu. Tem samem obecnie obowiązująca taryfa z 1-go czerwca 1897 utraci swą ważność.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Wiedeń 6 lipca. *Wiener Abendpost* stwierdza ponownie, że ministerstwo kolei żelaznych, projektując celem podniesienia dochodów z kolei państwowych podwyższenie taryf przewozowych, nie myśli bynajmniej o podniesieniu taryf co do węgla, w obrocie wewnętrznym. Wszelkie pogłoski o tem polegają na mylnych informacyach.

Paryż 6 lipca. Izba deputowanych przyjęła projekt ustawy w sprawie utworzenia armii kolonialnej ze zmianami uchwalnemi przez senat.

W senacie wniósł Franck-Chauveau interpelacyę z powodu dymisyi szefa sztabu jeneralnego Delannes i jeneralnego inspektora wojskowego Jamonta, oraz przedłożył porządek dzienny, wyrażający ubolewanie z powodu tego zarządzenia, które może przyczynić się tylko do dezorganizacyi armii. Stając w obronie ministra wojny, oświadczył Waldeck-Rousseau, że dymisya Jamonta nie ma żadnego zgoła znaczenia, albowiem jenerał ten i tak za kilka miesięcy musiałby był ustąpić z czynnej służby z powodu dojścia do przepisanego ustawą wieku. Następca jego jenerał Brugère taką samą czcią otacza ojczyznę, jak jej instytucye wojskowe i dlatego jest wystawiony na rozmaitego rodzaju obelgi. Ci, którzy występują przeciw niemu nie mają na celu obrony armii, lecz uzyskanie wpływu na nią. Rząd pomimo wszelkich przeszkód dowiedzie, że nie należy do tych, których można terroryzować i którzy pod wpływem przeciwności, gotowe są ustąpić ze swojego stanowiska. (Oklaski.) Senat przyjął porządek dzienny, pochwalający postanowienia rządu, a zarazem uchwalił, aby mowę Waldeck-Rousseau ogłoszono plakatami.

Graslitz 6 lipca. We środę południu dało się tu uczuć silne trzęsienie ziemi; nad ranem trzęsienie było jeszcze gwałtowniejsze.

Drezno 6 lipca. Dziennik urzędowy zapewnia wobec niepokojących pogłosek o stanie zdrowia króla Alberta, że król ma się znacznie lepiej, a nawet wczoraj odbył przechadzkę po parku.

Bruksela 6 lipca. Sąd przysięgłych potwierdził wprawdzie pytanie co do winy Sipida, który strzelał na dworcu do księcia Walii, orzekł jednak zarazem jego niepoczytalność; innych współoskarżonych uznał za niewinnych.

New-York 6 lipca. Część zakładów „Staeward oil Company Bayonne" spłonęła, 510.000 beczek eksplodowało. Szkodę oceniają na 2 i pół miliona dolarów.

Wypadki w Chinach.

(Telegramy „Przeglądu").

Szangaj 6 lipca. Do Biura Reutera telegrafują: Trzech zbiegłych z Pekinu Chińczyków opowiada, że 1000 cudzoziemców, 400 żołnierzy europejskich, 100 chińskich urzędników cłowych, oraz znaczna liczba kobiet i dzieci, osaczonych było w gmachu poselstwa angielskiego przez tłumy bokserów i pospólstwa. Oblężeni stawiali długo zacięty opór, aż w końcu zabrakło im amunicyi i żywności. Tłum chiński wdarłszy się do wnętrza, wymordował wszystkich cudzoziemców i spalił budynek. Obiega pogłoska, że cesarzową wdowę otruto.

Szangai 6 lipca. Z Pekinu donoszą pod datą 27 z. m., że znajduje się tam około 100.000 zbuntowanych żołnierzy.

Londyn 6 lipca. Biuro Reutera donosi: Oddział francuski, złożony z 800 żołnierzy i 2 bateryi, przybył do Taku. Komendanci wojsk zagranicznych przedsięwezmą wyprawę na Pekin dopiero po nadejściu dalszych posiłków. Rozpoczęła się deszczowa pora roku, utrudniająca niezmiernie marsze. Obawiają się wylewów; w razie gdyby w samej rzeczy wylewy nastąpiły, wyprawę wojenną trzebaby odroczyć do jesieni.

Berlin 6 lipca. Ambasador austryacki Szögenyi wyraził rządowi niemieckiemu imieniem rządu austryackiego najgłębsze oburzenie i serdeczne współczucie z powodu zamordowania posła barona Kettelera.

Londyn 6 lipca. Do dzienników donoszą z Szangaju, że cesarz chiński popełnił 19 czerwca samobójstwo przez zażycie opium. Zmusił go do tego książę Tuan. Cesarzowa wdowa poszła za jego przykładem i również zażyła opium; wprawdzie ona jeszcze żyje, ale ma być skutkiem otrucia umysłowo chorą.

Petersburg 6 lipca. Wiceadmirał Aleksiejew donosi, że otrzymał wiadomość z Pekinu pod datą 23 czerwca, iż gmach poselstwa rosyjskiego jest w połowie zburzony, gmachy zaś innych poselstw z wyjątkiem angielskiego, francuskiego i niemieckiego spalono. Sytuacya jest krytyczna, żywności brak, szybka pomoc konieczna.

Londyn 6 lipca. Połączone wojska rosyjskie i japońskie odparły atak Chińczyków, którzy w sile 80.000 ludzi zgromadzili się na północ i wschód od Tientsinu. Operacye wojsk zagranicznych bardzo były utrudnione wskutek braku wody i żywności. Chińczycy otrzymują codziennie coraz to nowe posiłki z Mandżuryi.

Wiedeń 6 lipca. (Tel. pryw.). *Neues Wiener Tagblatt* na podstawie informacyj z kompetentnego źródła potwierdza wiadomość, że pomiędzy osaczonymi w Pekinie przez Chińczyków cudzoziemcami znajduje się także komendant austro-węgierskiego okrętu „Zenta", kapitan fregaty Thomann.

Londyn 6 lipca. W Izbie gmin oświadczył Brodrick, że rząd angielski zawiadomił posła chińskiego, iż uczyni władze rządowe w Pekinie osobiście odpowiedzialnemi w razie, gdyby który z członków poselstw lub kto inny z cudzoziemców poniósł jaką szkodę.

Waszyngton 6 lipca. Ponieważ Stany Zjednoczone nie mogą na razie wysłać do Pekinu żadnych wojsk, zwrócił się rząd amerykański w tej mierze do Japonii z żądaniem wysłania oddziałów japońskich do Chin; w kołach rządowych waszyngtońskich sądzą, że inne mocarstwa to samo uczynią.

Wiedeń 6 lipca. Z wielu stron donoszą, że w oddziale wysłanym z austro-węgierskiego okrętu „Zenta", a osaczonym przez Chińczyków koło Pekinu, znajduje się także komendant „Zenty" kapitan fregaty Thoman.

Londyn 6 lipca. Wedle telegramu *Daily Express* z Szangaju, potwierdza się w zupełności wiadomość o okrutnem wyrznięciu przez Chińczyków wszystkich cudzoziemców, zgromadzonych w poselstwie angielskim.

Przyjechali dnia 6 lipca. JE. hr. W. Dzieduszycki i W. Dzieduszycki z Jezupola. Ks. Puzynina z Gwoździca. Z. Lachmayer z Bogumina. A. Fuchs z Wiednia. S. Komiszewski z Rosyi. K. Zaklika z Odessy. W. Mangolski z Jass. K. Dzierzyński z Neapolu. U. Diordiow z Krzemieńca. Rozwadowska z Przemyśla. K. Zamłyński z Paryża. S. Feliksowicz i W. Kulczysky z Pragi. Z. Kalminsky z Budapesztu. S. Jurkiewicz z Węgier. F. Kapłański z Warszawy.

Przyjechali dnia 6 lipca. E. Guszalewicz z Pragi. A. Skerl z Czortkowa. J. Höfner, J. Gödlidzka, F. Supf, G. Kämpf, G. Koller i M. Gottlieber z Wiednia. J. Gizowski z Podwysokiego. H. Siebel z Lubaczowa. J. Lewiórski z Ustrzyk dolnych. W. Jaruntowski z Twierdzy. T. Angermann z Węgier. W. Döller z Kołomyi. Dr. H. Kwokal z Przemyśla. A. Schmidt z Skolego. Ks. A. Werchanowski z Komarowa. A. Lülkens z Rosyi. Z. Berczecki z Podola ros. J. Zachorowska z Wołynia.

Przyjechali dnia 6 lipca. K. Wolniewicz z Tłumacza. P. Meisels z Sassowa. P. Myczkowski z Oleszyc. P. Pauli z Liwczy. J. Müllerowie z Błyszczywody. K. Rudnicki z Dubryniowa. P. Minkusiewicz ze Lwowa. L. Raszke z Bursztyna. K. Neumayer z Kamienicy. P. Chorzemscy z Złoczowa. Ks. A. Nagrodkiewicz z Tamanowic. S. Plewkiewicz z Zakopanego. P. Pawlikowski z Chrewtu. P. Gadomski z Stanisławowa. Ks. Dąbrowski z Liska.

Przyjechali dnia 6 lipca. Hr. L. Zamoyski z Krakowa. Hr. M. Dębicki z Jaworowa. Hr. T. Dzieduszycki z Niesłuchowa. Dr. Jakliński z Komarna. Ks. A. Wojnarowicz z Łoszniowa. S. Lodwiński z Wiednia. S. Ramoszyńscy z Schodnicy. J. Abgosowicz z Kobyłec. A. Pieniążek z Lipnik. W. Zaczkowski z Tarnopola. H. Niemczewski z Kijowa. O. Müller z Odessy. M. Nowosielecki z Stanisławowa. A. Zaręba Cielecki z Hadynkowic. M. Sokolnicki z Podola rosyjskiego. W. Zubrzycki z Kołomyi. S. Sozański z Wiednia. A. Doschot z Tłumacza. Dr. A. Stefanik z Brzeżnicy. Z. Mikulicz z Dąbrowy Górnej.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Podziękowanie. Ciężkim smutkiem dotknięta przez śmierć ś. p. matki mojej Maryi z Dietrichów Nesterowiczowej składam na tem miejscu serdeczne podziękowanie Wiel. Duchowieństwu i łaskawym znajomym, którzy zmarłej ostatnią usługę oddać raczyli, jakoteż WP. lekarzom dr. Pajączkowskiemu, dr. Kucharskiemu, a w szczególności p. radzcy dr. Opolskiemu, który do ostatniej chwili z prawdziwem poświęceniem niósł ulgę w cierpieniach i podtrzymywał gasnące życie drogiej matki.
Lwów 4 lipca 1900. *Marya z Nesterowiczów Horakowa.*

Lwów 6 lipca. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 koron 421.00 do 425·00. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 400 kor. 531.00 do 539.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 644.00 do 651.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 150·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 475·— do 490.—. Bankn dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 360.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·30 do 110·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 98·30 do 99·00, 4 proc. los w 60 lat 91·70 do 92·40. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99.— do 99.70. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 93·— do 93·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 91·50 do 92·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 91.50 do 92·20, 4 proc. los w 56 lat 91·00 do 91.70.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 96·30 do 97·00. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·00 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·00 do 100·70. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 93·30 do 94·00. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. 102·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 92.00 do 92·70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 88·50 do 00·00.

Monety. Dukat cesarski 11·30 do 11·45. Napoleon dor 19·20 do 19·40. Rubel rosyjski papierowy 255·25 do 256.75. 100 marek niemieckich 118·20 do 118·80.

Wiedeń 6 lipca. (Giełda towarowa). Cukier (stale) 29·65. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus niezmieniony 44·—44·40.

Berlin 6 lipca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 84·45. Spirytus 00·00.

Paryż 6 lipca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 99·47. Mąka („Fleur de Paris") 27·80.

Frankfurt 6 lipca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 209.90. Koleje państwowe 137·40. Alpiny 000·00. Disconto 173·10. Laura 209·00.

Wiedeń 6 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na na jesień 8·03—8·04, na wiosnę 0·00—0·00; żyto na jesień 7·17—7·18, na wiosnę 0·00—0·00; kukurudza na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 5·86—5·87, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 6·02—6·03, na maj 1901 r. 5·22—5·24; owies na jesień 5·56—5·57, na wiosnę 0·00—0·00; rzepak na sierpień-wrzesień 13·45—13·55, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na styczeń-luty 1901 r. 0·00—0·00; olej rzepakowy na wrzesień-grudzień. — Tendencya: silna. Pogoda: piękna, ciepło.

Budapeszt 6 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na na październik 7·78—7·79; żyto na październik 6·81—6·82; owies na październik 5·20—5·22; kurudza na lipiec 5·62—5·63, na sierpień 5·69—5·70, na maj 1901 r. 4·82—4·83; rzepak na sierpień 13·15—13·25. — Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna ograniczona. Tendencya dobra. Pogoda: piękna.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH

obowiązujący z dniem 1-go maja 1900 roku
(Czas środkowo-europejski).

POCIĄG posp. przych. o godz.	POCIĄG osob. przych. o godz.	Do Lwowa z: (na dworzec główny)
—	12·05	Stryja, Kałusza i Borysławia (ze Skolego od 1 maja do 30 września
12·20	—	Czerniowiec (Itzkan, Constancy, Bukaresztu)
2·31	—	Krakowa Orłowa, N. Sącza, Tarnowa, Jasła i Rzeszowa, Berlina, Wrocławia, Warszawy i Wiednia)
—	3·35	Podwołoczysk, Tarnopola, Grzymałowa, Kopyczyniec
—	6·10	Krakowa (Berlina, Warszawy, Wiednia, Tarnowa, Rzeszowa, Rymanowa, Sanoka, Przemyśla)
—	6·20	Czerniowiec, (Ickan, Stanisławowa, Husiatyna)
—	6·46	Brzuchowic (codziennie od 13 maja do 16 września włącznie)
—	7·45	Janowa
—	8·00	Tarnopola (Krasnego, Brodów)
—	8·05	Ławocznego (Stryja, Chyrowa, Sanoka, Kałusza i Pesztu)
—	8·15	Sokala i Rawy ruskiej
—	8·50	Krakowa (Zagórza, Łupkowa, Przemyśla, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Warszawy, Orłowa, Tarnowa, Pesztu)
—	11·45	Rzeszowa (Lubaczowa, Jarosławia, Sambora i Przemyśla)
—	11·55	Stanisławowa (Kerösmezö, Potutor, Chodorowa)
—	12·55	Janowa
—	1·10	Skolego, Stryja, Kałusza, Chyrowa (z Ławocznego od 1 czerwca do 15 września)
1·35	—	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Tarnowa, Rzeszowa, Rozwadowa, Przeworska, Sanoka
1·45	—	Czerniowiec, Ickan, Bukaresztu, Galacu, Jass, Husiatyna i Stanisławowa
2·35	—	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy) Grzymałowa, Husiatyna, Tarnopola i Brodów
—	3·14	Brzuchowic (od 13 maja do 16 września w niedziele i święta)
—	5·40	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Grzymałowa, Kozowy, Brodów)
—	5·45	Krakowa
—	5.55	Czerniowiec, Itzkan, Stanisławowa
—	6·00	Sokala, Bełzca, Lubaczowa Rawy ruskiej
—	7·24	Brzuchowic (od 13 maja do 16 września w niedziele i święta)
—	8·28	Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
8·40	—	Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Tarnowa, Lubaczowa, Sanoka, Pesztu, Przemyśla
—	8·50	Brzuchowic (od 13 maja do 16 września codziennie
—	9·23	Janowa codziennie od 1 maja do 15 września)
—	9·45	Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Tarnowa, Jasła, Przeworska i Rozwadowa
—	10·00	Czerniowiec, Ickan, Bukaresztu, Husiatyna, Potutor, Koresmezö
—	10·15	Ławocznego, Pesztu, Chyrowa
—	10·30	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec)
		(na dworzec „Podzamcze")
—	3·12	Podwołoczysk, Tarnopola
—	7·40	Tarnopola
2·20	—	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy
—	5·17	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy
—	10·12	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy
		Ze Lwowa do: (z dworca głównego)
12·40	—	Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina)
2·51	—	Ickan, Czerniowiec, Stanisławowa, Bukaresztu, Constancy
—	4·15	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Chyrowa, Sambora
—	5·45	Brzuchowic (od 13 maja do 16 września codziennie)
—	6·25	Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Borysławia
—	6·30	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów
—	6·35	Stanisławowa, Podwysokiego, Potutor
8·30	—	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Lubaczowa
—	8·40	Krakowa, Wiednia, Warszawy, Chyrowa, Przeworska, Rozwadowa, Strożego, Tarnowa
—	9·00	Skolego, Chyrowa, Kałusza (do Ławocznego od 1 czerwca do 15 września)
—	9·15	Janowa
—	9·25	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna, Grzymałowa, Kozowy
—	9·55	Czerniowiec, Stanisławowa, Potutor
—	10·20	Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej
—	1·25	Janowa od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
1·55	—	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Brodów)
—	2·15	Brzuchowic (od 13 maja do 16 września w niedziele i święta)
2·45	—	Czerniowiec, Ickan, Stanisławowa, Husiatyna
2·55	—	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina
—	3·05	Stryja (Skolego tylko od 1 maja do 30 września)
—	3·15	Janowa (codziennie od 1 maja do 15 września)
—	3·26	Brzuchowic (codziennie od 13 maja do 16 września)
—	3·30	Rzeszowa, Chyrowa, Przemyśla, Lubaczowa, Jarosławia
—	6·10	Stanisławowa
—	6·13	Janowa (od 1 maja do 15 września w dnie powszednie, a od 16 września do 30 kwietnia 1901 codziennie)
—	6·30	Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Warszawy, Orłowa, Tarnowa)
—	6·50	Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Chyrowa, Kałusza
—	7·10	Tarnopola i Brodów
—	7·25	Sokala i Rawy ruskiej
—	7·48	Brzuchowic (od 13 maja do 16 września w niedziele i święta)
—	9·12	Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
—	10·40	Czerniowiec, Itzkan
—	10·50	Krakowa, Wiednia, Warszawy, Przeworska, Rozwadowa, Rzeszowa, Orłowa, Tarnowa
—	11·00	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Grzymałowa
		(z dworca „Podzamcze")
—	6·48	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy
—	9·42	Podwołoczysk
2·08	—	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy
—	7·33	Tarnopola
—	11·23	Podwołoczysk

Uwaga. Czas środkowo-europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut a mianowicie 12 godzina w czasie środkowo-europejskim = 12 godz. 36 m. czasu lwowskiego.

Nocne godziny od 6·00 wieczór do 5·59 rano objęte są **tłustemi** ramkami. Biuro informacyjne c. k. kolei państwowych przy ul. Krasickich l. 5. udziela wyjaśnień w sprawach kolejowych, sprzedaje wszelkiego rodzaju bilety jazdy i rozkłady jazdy w formacie **kieszonkowym.**

69)

CORLEONE

POWIEŚĆ

Maryona Crawford.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Jestem pani nieskończenie zobowiązany za uprzejme zaprosiny, z których nie omieszkam skorzystać — rzekł Orsino uradowany.

— To jest — poprawiła się pani Slyback — jeżeli nie masz pan nic przeciw temu, aby się spotkać z Wiktoryą po tej okropnej sprawie.

— To donna Wiktorya raczej może nie zechce mnie widzieć — rzekł Orsino, który, jakkolwiek daleki od wesołości, zaledwie się mógł powstrzymać od uśmiechu.

— O, co to, to nie — upewniła mistress Slyback. — Widzę ze wszystkiego, że ma wiele sympatyi dla pana, a bratu niedowierza, zarówno jak pan i ja, choć nie mówi tego otwarcie. Ja bo jej dobrze nie rozumiem. Przywdziała żałobę po bracie, ale żeby była smutniejszą, niż zwykle, tego nie widzę. Odkąd ją znam, nigdy jej nie widziałam wesołą.

Kiedy nazajutrz, o oznaczonej godzinie, Orsino wszedł do przyciemnionego salonu w hotelu Bristol, usłyszał cichy, stłumiony okrzyk z ust Wiktoryi, która zbladła i czuła na razie, jakby jej cała krew zbiegła do serca. Po chwili dopiero odzyskała panowanie nad sobą. On sam tak silnego doznał wstrząśnienia na jej widok, że stracił pamięć o wszystkiem innem, choć starał się nie pokazać tego po sobie.

— Ciocia jest w sąsiednim pokoju — rzekła Liza, wyciągając do niego z uśmiechem rękę. — Nie obrażam więc w niczem waszych europejskich konwenansów, przyjmując pana tutaj.

Głos jej opamiętał Orsina, który usiadł na taborecie naprzeciw obu panienek, wpatrując się szybko to w jedną, to w drugą, zanim wzrok jego spoczął nareszcie z tęsknotą na ukochanej. Miss Liza wydała mu się zafrasowaną i zmęczoną i o wiele mniej ładną niż zwykle. Opanował ją jakiś nerwowy niepokój, który sprawiał, że nie mogła ani chwili usiedzieć spokojnie na miejscu.

Łagodna twarzyczka Wiktoryi była niezaprzeczenie smutną i sprawiała takie jakieś eteryczne wrażenie, że Orsino czuł się głęboko wzruszonym, patrząc na nią. Przemówił on coś do Lizy, aby przerwać kłopotliwe milczenie, kiedy ona naraz zerwała się z siedzenia.

— Zapomniałam, że miałam dziś napisać do stryja Bena! — zawołała. — Wikciu... zastąp mnie i zabaw przez chwilę don Orsina. Wrócę za dziesięć minut. Przepraszam pana.

I wybiegła z pokoju, nie oglądając się za siebie. Zaledwie drzwi zamknęły się za nią, Orsino przypadł do boku Wiktoryi i schwyciwszy obie jej dłonie w gorący uścisk, spojrzał jej w twarz. Ona żałośnie popatrzyła na niego, potem główka jej, jakby bardzo znużona, opadła na piersi.

— Nie było nam sądzonem... najdroższy... — szepnęła z boleścią.

— Czy sądzone, czy nie, ale tak będzie... ale tak będzie — odparł z niezłomną mocą.

— To tak straszne! — mówiła cicho, ukrywając twarz na jego piersi. — Moi biedni bracia... Jeden po drugim! — tu wyprostowała się nagle i obie ręce położyła mu na ramionach, topiąc badawczy wzrok w jego oczach. — Powiedz mi, że Hipolit go nie zabił... że to nieprawda! Ja tobie uwierzę! Sobie samej nie dowierzam, kiedy to mówię.

— To fałsz! — energicznie zaprzeczył Orsino. — Przysięgam ci na honor i wszystko, co mam najświętszego, że on nie winien krwi twego brata.

— Wierzę ci — rzekła ze słodką, dziecięcą ufnością, opuszczając znowu głowę na jego ramię. — Ale to wszystko takie okropne... Teobald go zabił... ja wiem... Przeczuwałam to, kiedy zobaczyłam jego twarz tego wieczoru, gdy się posprzeczali. I Teobald złożył całą winę na twego brata... choć, jak to się stało, nie wiem...

On w milczeniu okrywał gorącemi pocałunkami jej złote włosy.

— To straszniejsza zbrodnia, niż gdyby Hipolit był go zabił, broniąc swego życia — mówiła cicho. — Czuję.... nie wiem.... ale tak cię kocham, jak życie.... jak duszę własną.... a jednak, Orsino.... Orsino, jak się to wszystko skończy?

Dłoń jej ścisnęła kurczowo jego rękę, wiotka postać chwiała się, jakby z nadmiaru bolu, a jednak nie było łez w jej głosie, bo wszystkie wypłakała podczas długich bezsennych nocy.

— Skończy się pomyślnie — upewniał ją gorąco Orsino.

— Pomyślnie? Ty i ja mielibyśmy się pobrać?! O, nie!... — odparła, potrząsając smutnie główką. — Inaczej się skończy... Ja jestem odważna... nie upadam na duchu... ale wiesz, to mnie zabija! Moja matka... — tu zniżyła jeszcze głos — moja matka coraz gorzej zapada w obłąkanie.

— Nic cię nie rozłączy ze mną — uspokajał ją Orsino, tuląc ją do szerokiej piersi. — Ani śmierć, ani obłąkanie, ani smutek... nic!...

Milczała chwilę, jakby rozmarzona sennie widzeniem niedoścignionego szczęścia, które zamajaczyło przed jej wilgotnemi oczami.

— To niemożebne — rzekła po chwili, przywrócona znów do poczucia rzeczywistości. — Hipolit go nie zabił — ja wiem — ale nie to nas dzieli, nie to staje na drodze naszego szczęścia. Czy mógłbyś siostrę takich braci, jak moi, wziąć za żonę? A ojciec twój... matka... cała twoja dumna i uczciwa rodzina, coby powiedziała na to? Nie mów ty mi więcej o tem, najdroższy. Jeszcze ciężej byłoby mi umierać.

— Umierać!... ty? — zawołał głosem pełnym życia, i przechylając główkę jej w tył, po raz pierwszy wycisnął gorący pocałunek miłości na jej ustach.

Ona drgnęła i dłonie jej zadrżały, a powieki zwolna opadły na rozmarzone słodko oczy, aż przymknęła je całkiem, a on nie przestawał całować ich długo i namiętnie. Jej tętna, wstrzymane na chwilę nadmiarem szczęścia, uderzyły na nowo pełnią życia; łuna różowa wybiła na jej śliczną twarz, którą utuliła rozpromienioną do jego piersi, a wtedy usłyszała ciężkie, tajemnicze uderzenia jego serca, których kobieta nie zapomina nigdy, jeżeli danem jej było bodaj raz w życiu je słyszeć.

— Ty nie możesz przymusić mnie żyć — szepnęła. — Ale bez ciebie, nigdy!

— Razem będziemy żyć... razem... nieodłącznie, do grobowej deski — odparł.

W miarę, jak uspokajała się wielka fala ich wzruszenia, zaczęli spokojniej rozmawiać o przyszłości, która jej wydała się teraz mniej czarną. Zatopieni w sobie, zapomnieli całkiem o Lizie Slyback, aż dopóki ta nie poruszyła dyskretnie klamką u drzwi.

— Czy ona wie? — cicho zapytał Orsino.

— Ja nigdy jej o tem nie mówiłam — odparła Wiktorya.

— Napisałam taki długi, szczegółowy list do poczciwego stryjaszka Bena — rzekła Liza, wchodząc z udaną swobodą. — Mam nadzieję, żeście się tu nie znudzili bezemnie? Nie żebym była bardzo zabawną, zwłaszcza teraz. I jak ja wyglądam! — dodała, przystając przed lustrem. — Istne straszydło! Oczy mam zapadnięte i czerwone, jak u królika...

Był to jej zwyczaj pokrywać żartem rzeczywiste cierpienie, ale ściągnięta i znużona twarz zdradzała ją. Wyobraziła sobie, że się szalenie kocha w Teobaldzie, a tylko co postanowiła zerwać z nim. Niepodobna było wchodzić w rodzinę, gdzie raz po raz ktoś kogoś zabijał. Romantyczność miała swoją dobrą stronę, ale już tego dobrego było zawiele. Przyjaciele Sarascinesków tyle historyj o Pagliukach wywlekali z zapomnienia, że nawet gazety zaczynały już pisać o tem, a wszyscy nieżyczliwie wyrazili się o Corleonach. Trzeba więc było raz położyć koniec temu marzeniu. A jednak serce jej z trudnością odrywało się od hardego Sycylianina i twarz ładnej milionerki była bladą i mocno stroskaną.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Nerwy Teobalda zaczynały teraz odmawiać mu posłuszeństwa. Daremnie usiłował wmówić w siebie, że nóż się nie znajdzie, bo nikt nie pójdzie szukać go za ołtarzem. Ale wiedział, że biskup i sędzia śledczy mają zjechać na miejsce, a ta myśl nie przestawała dręczyć go we dnie i w nocy. Budził się nieraz z czołem zalanem zimnym potem, bo widział się stojącym przed kratkami sądowemi na miejscu, gdzie stał Hipolit i słyszał dziki wrzask tłumu, miotającego przekleństwa na bratobójcę. Łamał sobie też głowę nad wymyśleniem jakiego sposobu usunięcia dowodu zbrodni, ale wrodzone zuchwalstwo, z jakiem porywał się dotąd na każde śmiałe przedsięwzięcie, opuściło go nagle teraz. Jego cyniczna obojętność ustąpiła miejsca jakiemuś fizycznemu przerażeniu, które go ogarniało na samą myśl pojechania na miejsce, które było widownią zbrodni. Zdawało mu się, że gdyby nawet zdobył się na odwagę wejścia do kościoła, to nie byłby w stanie wydostać tego noża z za kraty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LWkr. 24352/900.

Ogłoszenie konkursu.

Wydział krajowy Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem ogłasza niniejszem, w myśl uchwały Wysokiego Sejmu z dnia 4 kwietnia 1900, konkurs na **dwie** posady praktykantów przy krajowym Zarządzie sprzydaży soli, z płacą roczną 1200 koron i dodatkiem aktywalnym w kwocie 200 koron rocznie, jakoteż z ewentualnem prawem do trzech pięcioleci po sto (100) koron.

Posady te nadane zostaną na razie prowizorycznie, po roku jednak pożytecznej dla Zarządu i nienagannej służby może być przyznaną stabilizacya na tej posadzie i prawo korzystania z zabezpieczenia w funduszu emerytalnym solnym.

Pragnący otrzymać jedną z tych posad winien najpóźniej do dnia 1 sierpnia 1900 wnieść podanie do Wydziału krajowego z dołączeniem:

1. metryki chrztu celem udowodnienia, że kandydat nie przekroczył wieku lat 40tu,
2. dowodu, że posiada obywatelstwo austro-węgierskie,
3. świadectw uzdolnienia, a mianowicie, że kandydat ukończył z dobrym postępem 6 klasę gimnazyalną lub realną i że posiada egzamin z rachunkowości państwowej i komercyalnej. Kandydaci, którzy wykażą się **ukończeniem szkoły handlowej mają pierwszeństwo.**

Wydział krajowy zastrzega sobie prawo użycia praktykanta w biurze centralnem we Lwowie lub też przy krajowych biurach spedycyi soli na prowincyi.

We Lwowie dnia 19 czerwca 1900.

Grott.

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.